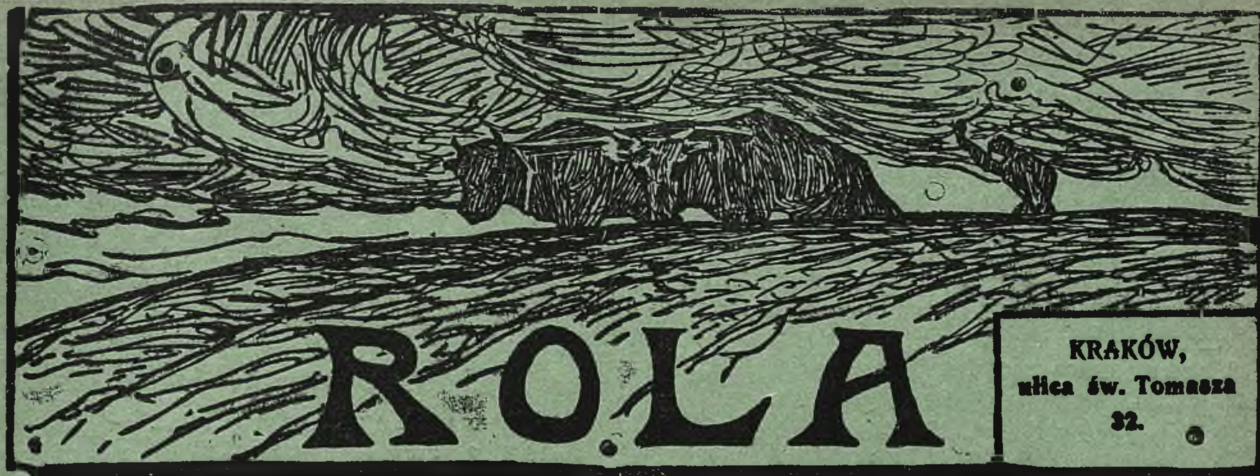
Numer 28. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 10 Lipca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Bogaty bankier.

Bogaty bankier, znany z nielitościwego wyzyskiwania swych pracowników, targuje się z młodzieńcem, kandydującym na posadę. Proponuje mu 50 mk. miesięcznie, ale kandydat waha się, twierdzi, że z tego wyżywić nie potrafi. Bankier chce go jednak przekonać, że w biurze, zacząwszy od małego, można z czasem dojść do wysokiego stanowiska. Wzywa więc swego prokurenta.

— Powiedz pan, panie, temu kawalerowi, coś miał u nas, gdy zaczynałeś przed dwudziestu laty?

— Phi, ja?... Piętnaście złotych — odpowiada zagadnięty.

— A co pan masz teraz?

— Suchoty.



Na sądzie.

Adwokat w ciągu gorącej rozprawy sądowej zapytuje świadka strony przeciwnej, chcąc go pognębić:

— Byliście już w więzieniu?

Świadek: — A juści!

Adwokat: — I takimi świadkami nie wstydzi posługiwać się partja przeciwna?

Przewodniczący, przerywając: — Za co posłano was do więzienia?

Świadek: — Za malarza. Zarzucił mi, że w jego zastępstwie źle wybieliłem celę, w której potem siedział jakiś adwokat za oszukaństwo.

Nigdy nie zajrzę...

— Dlaczego, kumie Pietrze, zawsze zamykacie oczy, kiej pijecie gorżałkę?

Kum Piotr: — A bom przysiągł swojej babie, że nigdy nie zajrzę do kieliszka, no i słowa dotrzymuję.



Przy kasie kolejowej.

Dziewucha: Proszę o bilet.

Kasjer: Dokąd panienko?

Dziewucha: A pana co to obchodzi?

Kasjer: Jeżeli mam dać bilet, to muszę wiedzieć dokąd?

Dziewucha (ze złością): Musisz pan wiedzieć, no to dobrze! Do narzeczonego.



Nic strasznego.

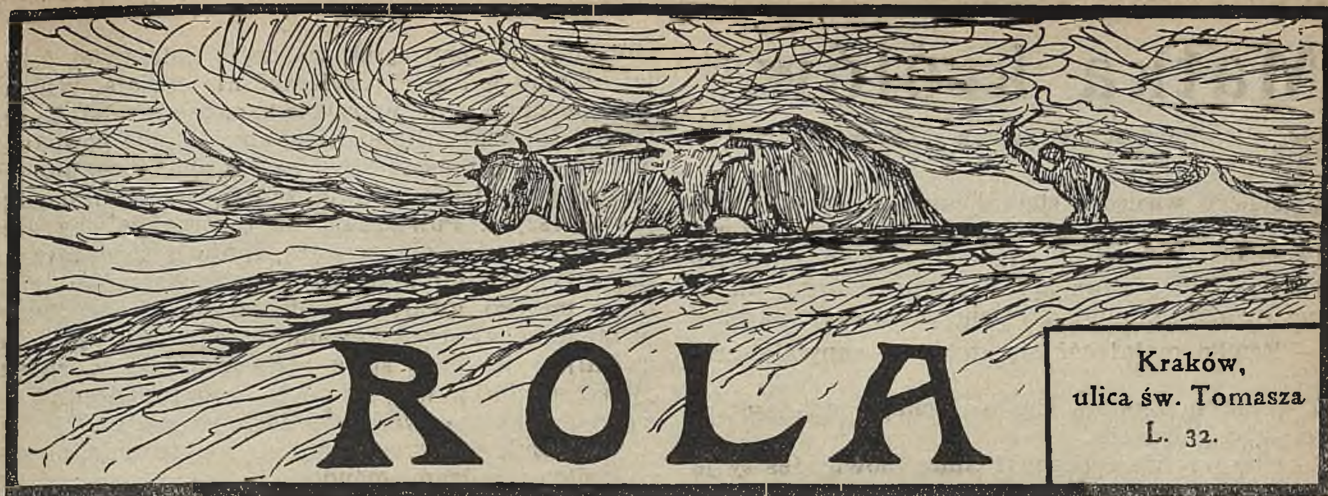
Cobyś zrobiła, gdybym cię teraz pocałował?

— Wołałabym mamy.

— A cóżby się wtedy stało?

— Nic, mamy niema w domu.

Numer 28. Rok X. Kraków, dnia 10 Lipca 1927.



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Nasza dziatwa podczas wakacyj.

Nadeszły wreszcie wakacje tak bardzo oczekiwane nietylko przez dziatwę, ale i przez starszych. Dziatwa oczekiwała wakacyj, aby nieco odetchnąć po całorocznej nauce, aby zażyć nieco swobody, aby więcej pobujać na świeżem powietrzu i czuć się zupełnie wolnym panem swego położenia. Rodzice oczekiwali wakacyj nietyle w interesie dziatwy, co własnym. Liczyli oni, że gdy nauka się skończy, będą mogli użyć dziatwy do pracy i w niejednem się nią wyręczyć.

Opuściła więc budynki szkolne krzykliwa czereda i rozpierzchła się po wioskach i miastach. Jedni opuścili szkołę z uśmiechem i pełnem zadowoleniem, gdyż praca ich całoroczna nie poszła na marne, gdyż otrzymali postęp do wyższej klasy. Inni opuszczali budynek szkolny ze łzami w oczach, gdyż ocena ich pracy okazała się niedostateczną. U wielu zapanowała radość, ale znalazło się też dość smutku. Radość przeminęła szybko, ale smutek pozostał i trwa. Pozostał on u młodych, ale pozostał i u starszych może jeszcze w większej mierze, a objawia się w częstych docinkach i strofowaniach tej dziatwy, która przyniosła zła świadectwa. Ale czy słusznie?

Nie da się zaprzeczyć, że w większości wypadków sama dziatwa winna, iż nie otrzymała dobrego świadectwa, ale przecież niejednokrotnie zdarza się, że winy i gdzieindziej szukać należy. Obowiązkiem więc rodziców jest zbadać, dlaczego dziecię ich pozostało w tyle poza innymi dziećmi, dlaczego nie dorównało im w postępach.

Najczęściej winni tu rodzice sami, którzy przez cały rok nie zatroszczyli się o swe dziecię, którzy puścili je luzem, aby sobie robiło co chce i jak chce. Upływały tygodnie za tygodniami, a ojciec ani matka nie przeszli się ani razu do szkoły, aby się zapytać, jak też się zachowuje ich dziecię. A dziecko, widząc brak troskliwości u rodziców o siebie, zaniedbywało się coraz bardziej, a skutki tego zaniedbywania się okazały się z końcem roku szkolnego. I bardzo częste są wypadki, że nawet dobre dziecię wskutek braku opieki, wskutek braku zainteresowania się niem przez rodziców schodzi na manowce.

Jeżeli więc w takim wypadku dziecko przyniosło złe świadectwo, to wina w tem nietylko samego dziecka, ale w dużej mierze również i rodziców.

Po największej części rodzice zwalają winę na nauczycieli. Nie można zaprzeczyć, że czasami mają słuszność. Ale tylko czasami i to tylko w gimnazjach. A dlaczego, to przedewszystkiem trzeba znać sposób nauczania w gimnazjach i w szkołach powszechnych. W szkołach powszechnych nauczanie polega na pracy twórczej samego ucznia czy uczenicy. Nauczyciel jest tu tylko przewodnikiem, który kieruje pracą dziecka. I dlatego w szkole powszechnej, jeżeli tylko dziecko uczęszcza regularnie do szkoły, a nie jest skończonym matołkiem, to bezwarunkowo powinno tyle się nauczyć, aby przejść do wyższej klasy.

Inaczej natomiast jest w gimnazjach: tam nauczyciel wykłada i z swych wykładów egzaminuje. Niejednokrotnie bywa tak, że uczeń zna wyśmienicie wszystko, co nauczyciel przez cały rok nawykładał, a jedynie przez zbieg jakichś okoliczności pewnego drobiazgu zapomniał. Pan egzaminator o to właśnie go zapytał, uczeń nie odpowiedział i gotowa katastrofa, gdyż nauczyciel zrażony do ucznia, lekceważy go później, a w rezultacie sypie dwóje.

Obowiązkiem rodziców jest więc i przez wakacje otaczanie dziatwy jak największą opieką, a w jakim kierunku mają postępować, wskazują im najlepiej uzyskane przez dziatwę świadectwa szkolne.

Niech przez wakacje dziatwa nasza wytchnie prawdziwie, ale niech będzie zawsze pod rodzicielską opieką, aby się broń Boże, nie wykoleiła wśród złego towarzystwa.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

Jednego wieczora stara Femka zapłakana przyszła do królowej, ale pytana, przyczyny łez wyznać nie chciała. Narzekała tylko na dzień i godzinę, która ją tu przyprowadziła, na tę koronę rozpaloną, którą jej pani włożono na skronie.

— Femko moja! cóż się stało? — zapytała królowa.

Z gniewem zerwała się, z osychającemi nagle oczyma stara piastunka.

— Niepoczciwe te Lachy! Śmią mówić, żeś ty ją otruła! Powtarzają, że ona sama cię obwiniała, że to z ust jej własnych słyszały. Brakło nam tego jeszcze!

I zalała się łzami. Królowa już nawet płakać nie mogła. Dawniej umiała się wyszlochać i to jej ulgę czyniło, teraz łez brakło... paliły się gdzieś we wnętrzu i piersi jej piekły żarem. Spojrzała pogrążona w myślach na swą starą i poszła do okna z załamanemi rękami.

Dwaj kanonicy krakowscy, ksiądz Adam Świnka i ks. Jan Elgott, codzień prawie odwiedzali królewnę. Pierwszy z nich zabawiał ją czytaniem pobożnem, drugi był jej spowiednikiem, doradcą i pocieszycielem. Obaj byli do niej przywiązani wielce.

Ks. Elgotta znała królowa, na myśl jej przyszło, dopóki żyła Jadwiga, odwołać się przez kapłana do jej sumienia i uzyskać świadectwo, że o otrucie jej nie posądzała?

Lecz dziewczę, w którem żywiono i podsycano nienawiść ku macosze, będzie-li chciało dać świadectwo prawdzie? Uwierzą-li ludzie, nawet gdyby wydała?...

Król się jeszcze znajdował w Krakowie. Codzień dowiadywał się troskliwie o swą starszą, donoszono mu, że źle było, wzdychał smutny.

Sonka ukrywała przed nim łzy swe i niepokoje, było ich i tak dość zawsze. Przychodził niemal codzień Oleśnicki, prawie za każdym razem przynosząc gorzkie wymówki i straszne groźby.

Pewien władzy swej nad królem, biskup go nie oszczędzał. Karcił zdziecinniałego starca, jak wyrostka. Czasem krew Litwina na chwilę się zburzyła, oparł się, ofuknął, pogroził, ale nazajutrz upokorzony, przepraszał. Królowa nadto potrzebowała jego potęgi na dziś i na jutro, aby nawet w obronie męża śmiała przeciw niemu wystąpić.

Biskup odgadnąć musiał jej myśli, bo sam rozpoczął rozmowę o Jadwidze.

— Ojcze mój, — odpowiedziała królowa ze łzami w oczach — nic o niej nie wiem, oprócz, że jest chorą, zbliżyć mi się do niej nie godzi, bom macocha jest i jestem posądzoną...

Biskup domyślał się reszty... zadumał się trochę.

— Wezwij miłość wasza, kanonika Elgotta do siebie, rzekł. — Mąż zacny, on na to poradzić może, aby królewna sama dała świadectwo prawdzie.

Rada taka była zgodną z myślą samej królowej, utwierdziła ją w tem, co zamierzała.

Królowa nazajutrz prosić do siebie kazała Elgotta.

Wezwaniu kólowej kanonik natychmiast uczynił zadość. Chciała mówić z nim na osobności.

— Ojcze mój! — odezwała się, gdy weszli do bocznej komnaty — zwacam się do was, jako do ojca duchownego w spawie tak ważnej a boleściwej, żebym jej nikomu w świecie zwierzyć nie chciała. Widzicie postępowanie moje, patrzycie na stosunek mój do królewnej Jadwigi... Stoję zdala, aby nie dać powodu do obmowy, a jednak złośliwi ludzie obwiniają mnie, że pragnę jej śmierci, a nawet, żem ją zadaniem trucizny przyśpieszyła. Powtarzają na dworze, jakoby sama Jadwiga, czując się gasnącą, mnie o to oskarżała... Bóg świadek, unikałam pozoru... kochałam to dziecię męża mojego, gwałtem mnie od niego odepchnięto, w młodem jej sercu szczepiąc nienawiść. Ojcze mój, zaklnijcie ją, jako stróż sumienia, jako duchowny ojciec, niechaj powie, czy może mnie posądzać? Niech z grzechem tej potwarzy nie idzie na sąd Boży!

Kanonik cały wzdrygnął się z oburzenia, słysząc, co królowa ze łzami mówiła.

— Miłościwa pani, — przerwał gorąco — ja z ust królewnej, która jest aniołem dobroci i cierpliwości, nigdy nic podobnego nie słyszałem.

— Proścież jej, żądajcie niech powie jawnie, że mnie nie posądza, niech ze mnie zdejmie ten ciężar. Przy was, w przytomności biskupa uczynione zeznanie, ulży jej duszy, a mnie oczyści.

— Pewny jestem, że królewna uczyni to chętnie — rzekł Elgott, poruszony błaganiem. — Dusza to czysta, którą może dlatego Pan Bóg chce odjąć ziemi, że na niej, wśród zepsutego świata, życieby jej męczarnią się stało.

Pożegnawszy królowę, kanonik Elgott pod wrażeniem rozmowy tej poszedł wprost do królewnej Jadwigi.

Ta już z łóżka nie wstawała prawie. Ubierano ją codzień w białe szaty, trefiono długie jej piękne włosy, sadzano potem na łożu, obstawiając wezgłowiami.

Kanonik przemówiszy słów kilka, dał znak kobietom, aby się oddaliły. Zdarzało się nieraz tak, że im dla spowiedzi odchodzić kazano.

— Pani moja miłościwa — odezwał się kapłan — przyszedłem dzisiaj do was, aby skłonić do spełnienia świętego obowiązku.

Nastraszona tym wstępem niezwykłym, lekko się zarumieniła.

— Czysta dusza twoja niczem obciążoną być nie powinna — mówił dalej. Ludzie źli dręczą królowę tem, że ją pomawiają o umyślne przyczynienie się do choroby waszej, gorsi jeszcze kłamliwie śmią twierdzić, że z ust waszych słyszeli to obwinienie... Byćże to może?

Jadwiga zapłonęła zlękniona i cała drżeć zaczęła, łzy napełniły jej powieki.

— Nie, nie! — odezwała się głosem, w którym płacz czuć było. — Ja ani jej, ani nikogo nie obwiniam... Bóg chciał...

Spuściła oczy i zamilkła.

— Miałażeś kiedykolwiek powód posądzenia? — rzekł Elgott, — bacznie się w nią wpatrując.

Jakby szukała czegoś w pamięci, królewna się ociągała z odpowiedzią.

— Nie! nie! nigdy! — zaczęła mówić prędko.

— Ażeby wyrwać żądło potwarzy — dodał Elgott — należy, abyście to wyznanie powtórzyli w obecności biskupa i mojej.

Jadwiga rzekła cicho:

— Dobrze mój ojcze, uczynię wszystko, co mi każecie.

Nadto przykrym był przedmiot, a udręczenie na twarzy chorej zbyt widoczne, aby kanonik natychmiast go nie zmienił, rozpoczynając mówić o Bogu, o niebie i o szczęśliwości wybranych pańskich.

Z rozkoszą pilnie zdawała się słuchać, zwrócona ku niemu dzieweczka, zapominając o smętnem życiu swojem na ziemi.

Drugiego dnia kanonik Elgott przywiódł z sobą biskupa a Jadwiga cichym, ale śmiałym głosem powtórzyła przed nim wyznanie, że królowej posądzać nie miała powodu.

Na dwa dni przed Niepokalanem Poczęciem, we czwartek, lekarze zapowiedzieli zbliżającą się chwilę zgonu. W sobotę, w sam dzień Najświętszej Panny, gdy na jutrzni Te Deum śpiewano, czysta jej dusza do lepszego uleciała świata...

Na zamku płacz i żal ozwał się głośny, oznajmując królowej i Jagielle, że Jadwiga nie żyła.

V.

Ciężkie były lata ostatnie króla starzejącego, bezsilnego w walce ze zbuntowanym Świdrygiełłą, z Rusią, z korzystającymi z pory pogodnej dla nich wiarołomnymi Krzyżakami.

Święta wielkanocne spędził Jagiełło z królową w Krakowie (1435).

Nadchodziła wiosna, zazielenić się miały lasy. Wielki ich miłośnik, starzec już nie mógł usiedzieć w murach swojej stolicy. Napróżno go tu starała się utrzymać królowa, mająca nad nim więcej władzy, lecz nieśmiała zmieniać starego trybu życia, za którem tęsknił Jagiełło.

Pozoru do tej podróży w lasy, na Ruś, dostarczył zjazd w Haliczu ze Stefanem, mołdawskim hospodarem.

Ciągnął więc król do swej ulubionej Medyki powoli, a sprzyjało podróży łagodne powietrze i zdradliwie przyśpieszona wiosna. Lecz gdy przybył na miejsce, powiało mrozem nagle. Rozwinięte już liście, kwiaty, podrosłe zboża ściął i zwarzył chłodny wiatr północy.

W połowie maja, jak się u nas często trafia, wróciła na krótko zima, oziębiło się powietrze, a choć potem błysnęło słońce, ciepło rychło powrócić nie mogło.

Króla jednak towarzyszący panowie, czeladź, komornicy w jego dworcu w Medyce powstrzymać nie umieli. Rwał się im i prosił do lasu.

W głębiach puszcz chłód nie wszystko zwarzył; ulubione Jagielle słowiki zawodziły pieśń, przypominające staremu jego młodość, Litwę, lepsze czasy.

Już nie na łowy, bo pora nie była po temu i sił do nich nie starczyło, jechał król tylko siąść gdzieś na kłodzie, wśród gąszczów i słuchać ptactwa, któremu wiosna śpiewać kazała. Tu on mógł i o wiarołomnym Świdrygielle i o biskupie, co go tak karcił, o wszystkich niewdzięcznościach i zawodach zapomnieć.

Marszałek, łowczowie, wierna czeladź napróżno ostrzegali go, że w lasach wiosenną porą siedzieć niezdrowo. Nie wiele już miał do stracenia, a słowiki śpiewały tak ślicznie.

Dnia tego, pojechawszy, z południa w lasy, nie dał się z nich wyciągnąć aż nocą. Noc była przejmująca chłodem, król w jednym swoim starym kożuszku wytartym. W powrocie dreszcze go porwały, ale nie było obawy, bo na to byle jaki ciepły napój mógł poradzić.

Nazajutrz musiał król ciągnąć do Gródka, dokąd na dzień naznaczony posłowie od hospodara przybyć mieli. Zwlókł się biedny z posłania i choć zmęczony, a niezdrów, pojechał... Siadł tam jeszcze z Mołdawianami do stołu w nieopalonej izbie chłodnej, gdy wśród obiadu zimnica strasznie trząść go zaczęła.

Nie można już było na zjazd pewnego dnia naznaczyć, Jagiełło musiał się położyć.

Znana to choroba, na którą lekarstw jest tysiące; leczą ją baby, każdy ma na nią niezawodny środek, — nie tracono więc nadziei, że król pomimo wieku swego wyzdrowieje.

On sam pierwszych dni nie trwożył się wcale. Pojono go bobownikiem i goryczką, zadawano jako lekarstwo wino korzenne. Wszystko to wzmagało gorączkę, i zimnica uparta wracała.

Wreszcie siły zaczęły opuszczać starca. Strach teraz ogarnął towarzyszących mu... liczono lata i trudy... wysłano na wszystkie strony po lekarzy.

Nie było już ratunku!

Znużony życiem, on pierwszy poczuł, że się ono wyczerpało. Dawno mu już było tęskno za spoczynkiem.

Zażądał spowiedzi i kapelan Mikołaj kilkakroć go spowiadał. Pobożnie przysposabiał się do śmierci, a z wielkim pokojem ducha. Prosty a dobroduszny, nigdy przed sobą win swych i słabości nie taił, znał je. Nie czynił się wielkim, — pragnął być czystym.

W ostatniej godzinie, ten, co tak szczodrą dłonią sypał dobrodziejstwa wokoło, jednem się tylko niepokoił, czy jakich krzywd niewynagrodzonych nie pozostawił po sobie.

Zwracał się ciągle do spowiednika, przypominając mu, zaklinając go, aby na duszy jego nie ciężyły łzy ludzi.

— Pożegnaj żonę i dzieci, pobłogosław ich odemnie... Módlcie się za duszę moją, wszystkim, wszystko przebaczyłem.

Chciał spocząć potem.

Była to noc ostatnia, rozeszli się ci, co go pilnowali, znużeni. Jeden Janek Słabosz, łożniczy, stał przy nim jeszcze, to poprawiając węzgłowia, to układając okrycie... a popłakując za dobrym panem, który każdy swój gniew i popędliwość chwilową sowicie opłacał.

Nagle poruszył się król niespokojnie.

— Janek! Słabosz! pójdź sam tu — odezwał się głosem stłumionym.

Wierny sługa schylił się ku niemu.

Król drżącemi, bezsilnemi rękami niespokojnie przebierał. Usiłował nadaremnie ściągnąć z palca pierścień, który nie opuszczał go nigdy.

Była to ślubna obrączka Jadwigi.

— Weź ten pierścień, — rzekł. — Najdroższa to dla mnie ze wszystkich pamiątka. Nigdym jej nie zrzucał z ręki. Oddasz pierścień ten Zbyszkowi, biskupowi krakowskiemu; niech on ją po mnie zachowa, a niech mi przebaczy, jeślim przeciw upomnieniom jego opór stawił. Jeślim go obraził, niech mo zapomni. Jemu polecam pamięć duszy mojej, królestwo, wdowę, synów... zwłaszcza starszego... oddaję mu w opiekę wszystko, niech pomni, żem mu też łask nie szczędził.

I znużony, ale spokojny przymknął powieki. Noc wcześnie zapowiadała się ostatnią, a była dni majowych pośledniją. W drzewach dwór okalających śpiewały jeszcze umierającemu słowiki.

Izba znowu napełniła się cicho napływającymi ludźmi. Każdy pragnął spojrzeć na dogorywającego i pożegnać go jeszcze. Słabnącemi oczyma on też po jednemu żegnał wierne sługi swoje, niekiedy niewyraźnem jakiem odzywając się do nich słowem. Wszyscy mieli łzy na powiekach, jakby tracili ojca.

Księża odmawiali ostatnie przy konającym modlitwy, poruszenie ust chorego okazywało, że je za nimi powtarzał.

Przez okna wciskał się pierwszy brzask dnia, gdy król oddał ducha spokojnie, jakby po długich usypiał trudach

W izbie panowała cisza przerywana łkaniem przytomnych. Uklękli księża, pierwsi odmawiając Anioł Pański za duszę jego.

Tak skończył marzeniem słowiczej pieśni król ten czystego serca, prostego ducha, który ciężarowi panowania nad siły, nad państwem ogromnem, niezjednoczonem jeszcze, podołać się starał — i nie mógł. Męczennik biedny, dziecko puszcz, tęskniące za lasami, za swobodą, musiał być niewolnikiem obowiązku, skuty złotą obręczą, która czoło jego opasywała.

Śmierć tego człowieka, który królem już był tylko z imienia, jak grom pełen gróźb rozległa się po osieroconym kraju.

Jeden biskup Zbigniew mógł teraz podołać ciężarowi bezkrólewia, a ten był w drodze do Bazylei.

Szczęściem i on i kanclerz Koniecpolski zatrzymali się byli w Poznaniu. Tejże nocy biegli gońce do królowej i do niego.

W Krakowie nic nie dozwalało nawet przeczuwać wieści, która miała spaść na wdowę; król opuścił ją zdrów zupełnie a wesół, bo całe swe życie spędziwszy w nieustannych podróżach po kraju, w drodze tylko czuł się swobodnym, gdy mógł małymi podarkami i ludzi i siebie cieszyć.

Wiosna zapowiadała się piękna, królewicze ze swym mistrzem i dozorcą siedzieli nad książkami lub zabawiali się ochoczo w podwórcach. Sonka cieszyła się niem.

Nagle po mieście jakby drżenie przebiegło.

Rozległ się głos jakiś nie wiedzieć skąd, niewiadomo przez kogo przyniesiony:

— Król umarł!

Szeptano sobie z trwogą do uszu tajemniczo, niedowierzając. Kupki ludzi zbiegały się w rynku i rozpraszały po domostwach. Nie można było dośledzić, człowiek czy wiatr przyniósł tę nowinę.

Jeźdźców kilku pomknęło przez miasto ku zamkowi. W chwilę potem uderzyły głucho dzwony.

Ludzie się zbiegali, kilku konnych wjechało i opodal z koni zsiadłszy, rozpowiadali coś nadchodzącym. Czeladź podnosiła ręce i chwytała się za głowy. Ze wszystkich drzwi zaczęli się wysuwać komornicy ciekawi w gromady... Inni, ledwie tu schwyciwszy coś od przybyłych, pędem powracali na zamek.

Nie usłyszała jeszcze królowa nic, lecz serce jej uderzyło jakiemś przeczuciem, zakryła sobie oczy.

Wewnątrz szeptał jej głos jakiś natarczywy okrutny.

— Król umarł!

Stała tak osłupiała, oczekując, pytać nie śmiejąc, drżąc, nie przywołując nikogo. Wolała tę chwilę niepewności przedłużyć, niż usłyszeć wyraz straszny, którego się lękała.

Po kurytarzach zamkowych tętniało bieganie, szepty i wykrzykniki już dochodziły, ale drzwi stały zamknięte i do niej nikt nie przybywał.

Serce coraz bardziej żywiej biło w piersiach królowej. Zdawało się, że wszyscy ją odbiegli, zamiast się skupić koło niej.

W podwórcach gromadziło się coraz więcej ludzi, szmer coraz się wzmagający napełniał je.

Królowa musiała się wesprzeć o krzesło, bo osłabła, ustać dłużej nie miała siły... Zdawało się teraz jej, że z dziedzińców przez okna otwarte, z wiosennym powiewem, płynęły głosy, powtarzające:

— Król umarł!

Ręce miała załamane, spuszczone, głowę na piersi zwieszoną, jak winowajca oczekujący głosu sędziego.

Otwarły się drzwi nareszcie i blady, wzruszony ochmistrz dworu jej, Nałęcz Malski, wszedł i jakby się przybliżyć nie śmiał, został u progu.

Królowa chciała go spytać i już otworzyła usta gdy z niedomkniętych drzwi ukazał się występujący śmielszym krokiem kanonik Elgott; ale i na jego twarzy wyryta była boleść i przestrach.

— Woli Bożej i zrządzeniu Opatrzności poddać się musi wszelkie stworzenie — rzekł głosem drżącym. Módlmy się za duszę pana naszego; król umarł!

Słaby okrzyk wyrwał się z ust Sonki. Oczyma potoczyła dokoła, jak gdyby szukała dzieci.

Właśnie ks. Wincenty Kot obu chłopców do izby wprowadził. Strwożone i zapłakane królewięta szły ku matce... Starszy łzy cisnące mu się połykał...

Obu ich jednym uściskiem objęła królowa, przytuliła do piersi i dopiero wybuchła jękiem i płaczem.

Mistrz Wincenty kazał uklęknąć wychowańcom, ukląkł sam i za duszę króla modlitwę głośno odmawiać zaczął. Padła na kolana królowa i twarz ukrywszy w dłoniach, szlochała milcząca...

Wtem na Wawelu i po mieście całem zaczęły bić dzwony.

W godzinę potem, z oschłemi, nabrzmiałemi oczyma siedziała Sonka z dziećmi w głębokich myślach pogrążona. Męstwem wielkiem musiała swą żałość i ból opanować, aby czuwać i bronić dzieci, zyskać im opiekunów, zapewnić spadek po ojcu.

Wszystko od niej zawisło, na jej ramionach ciążyło. Uchwały szlachty, jej obietnice, nadzieje, mogły się rozbić o jeden zjazd burzliwy, ulecieć z jednym namiętnym okrzykiem.

Ona tu stała osamotniona, obca, wpośród tłumów obojętnych, wśród zażartych nieprzyjaciół, z niewielką garstką ludzi, na których liczyć mogła.

Lecz na czele tych, co jej przyrzekli koronę dla starszego syna, stał przepotężny biskup Zbigniew...

Z nim i za nim szli rodzony jego brat Jan, marszałek koronny, stryj Dobiesław, Jan stryjeczny, Topory i Leliwy spokrewnione, Koniecpolscy i Tarnowscy, cała niemal Małopolska i znaczna część Wielkiej Polski...

Goniec pędził stąd do Poznania, do Zbyszka biskupa.

— Weź wszystko w swe dłonie, ratuj!

(Dalszy ciąg nastąpi).



Czy wiesz Ty?

Czy wiesz Ty, czy Ci serce nie tłomaczy,
Co to ból taki przeogromny znaczy,
Gdy sercem żałość okrutna zatarga,
A z ust nie może płynąć głośna skarga?

Czy wiesz Ty, ile łez w oku się mieści,
I ile w sercu kłębi się boleści,
Jeśli łzy z oczy popłynąć nie mogą,
A serce skargą nie wybucha srogą?

Czy wiesz Ty, jak serce przeogromnie boli,
Gdy nie masz komu wypłakać swej doli,
Gdy rozpacz nosisz jedynie dla siebie,
A niema w żalu, kto ukoić ciebie?

Stanisław Kamyk.

MODLITWA DZIECKA.



Dziecino moja! Podnieś rączęta
I dłonie wątłe, nim spoczniesz, złóż,
Aby cię strzegła Panienka Święta
I strzegł cię w życiu twój Anioł Stróż!

O bo na świecie tyle boleści,
I tyle w życiu ludzkiem jest burz,
Że nieraz serce ich nie pomieści,
Gdy ich nie zwalczy twój Anioł Stróż.

Módl się, dziecino, od życia ranka,
Składaj swe prośby u Bożych stóp,
Wplataj paciorki do życia wianka,
Bo, patrz, tam w dali widny już grób...

I kiedyś, kiedyś, w dalszej przyszłości
Tyle cię spotka bolesnych prób,
I tyle smutku w serce zagości,
Że życie będzie jakoby grób.

I któż w niedoli tej ci pomoże,
Kto w życiu będzie chronił od burz,
Jeśli nie oko wszechmocne Boże,
Jeśli, dziecino, nie Anioł Stróż?

Wprawdzie przyjaciół nie brak ci będzie,
Póki ci szczęścia kwitł będzie kwiat,
Lecz gdy ból serce twoje osiędzie,
Zapomni rychło o tobie świat.

Jeden Stróż Anioł do dni ostatka
Nie opuści cię, dziecino, nie,
On bardziej niźli rodzona matka
Będzie i strzegł cię i bronił cię.

A więc, maleństwo, w tej życia wiośnie
Zawczasu modły do Niego ślij;
Módl się ochoczo, módl się radośnie,
A życie twoje minie ci lżej!

Antoni St. Bassara.



Nie wiem, cy tam gdzieindziej tak robią, ale u nas w Psi Wólce to w niedziele po niesporach schodzą się ludzie u Matusa na bajki. W zimie siadają se koło pieca, a latem pod gruską za stodołą i bajcą, nieraz i do samego północka. Jak juz wynicują do imienia wszyćkich wsiowych i nie wsiowych, to zacynają o tych dalsych, których ani nie znają, ani o których nigdy nie słyseli.

W tamtą niedzielę, jak juz obajcyli wszyćkich w caluśkiej okolicy, tak pada Wawrzek od Grzeli:

— Jak posłuchacie jeszcze krzynkę, to wam opowiem, co to w jedny wsi jeden chłop jedny babie zrobił.

— Słuchamy! Słuchamy — ozwali się wszyscy, a Wawrzek tak bajcył:

— W jednej wsi mieskały se dwie kumoterki, które sie okrutecnie lubiały. Jednego razu posła jedna z nich po wode, a było bardzo daleko po nią chodzić. Gdy tak z wywalonem jezorem na brzuch dźwiga ową wodę, spotyka ją druga kumoterka i pada:

— O la Boga, kumosiu! Aleście to chorzy i wyglądacie, jak ten badyl zimniacany na zagonie. A cemuz wam to kmoterek nic o tem nie pedział? Pewnikiem chce, cobyście pomarli i nie zawalali drogi kumoterkowi do Jagi Włodkówny.

Rzuciła pirsa kumoterka konewki na ziemię, polazła do chaty i pada:

— Ha, kiedym chora, tom chora.

Połozyła sie do łóżka i stęka nicem krowa na ocieleniu.

Wiecorem wraca mąż z roboty i patrzy, a tu baba lezy pod pierzyną, choć to lipiec był cieplusieńki i stęka aze pierzyna chodzi. Strawa nie ugotowana, na ziemi wcorajse śmiecie. Pyta więc żony:

— A tobie co?

A ta, jak go nie ofuknie:

— Ty nicponiu jakisik, toś ty takim mężem, że ani mi nie powis, co ja taka chora, ze ani ręcami ruchać nie mogę. Wiem ja, wiem, ze ci sie Jagi zachciwa i ino patrzys kiedy kopyta wyciągne. I chociazbym i umarła, tobyś mi o tem nie powiedział. Dopiro mi cudzy ludzie musą gadać, zem chora. Taką to mas litość nad rodzoną żoną.

Mąż wysłuchał cierpliwie wszyćkich zarzutów i powiada jej:

— Uspokój sie, psiakrew, kochana żono, bo kiedyś jest chora, to ja pójdę do japtyki i przyniese ci dziegciu, albo jaką insą medycyne.

Wybrał sie chłopina zaraz do apteki, ale ją zastał zamkniętą, bo to było juz dobrze w nocy. Aleć od cegóz jest dzwonek — pomyślał se — i zacął nim z całej siły telepać. Usłysał to japtekarz i choć sie mu od rodzonej żony nie chciało wstawać, zerwał się z łózka, ale się rozsierdził okrutecnie. Odemknąwsy japtekę, pada do chłopa:

— No i cego do cholery chcecie?

— Medycyny! — chłop na to.

Ale japtykarz, co to do dziwu się trafi, coby po katolicku do człeka zagadał nawet w dzień, a nie dopiero w nocy, wścik sie i lunął biedaka raz i drugi w jadacke i pada:

— Mas ścirwo medycyne, a pamiętaj, abyś drugi raz po próżnicy ludzi nocami nie budził.

Chłop skłonił sie japtykarzowi do kolan, pochwalił Pana Jezusa i zawrócił do chałupy. Przysedsy do domu, powiada do niewiasty:

— Siądź babko na ławce, bom przyniósł medycyne.

Baba usiadła, a chłop w tem momencie ryps ją w pape... Baba spadła z ławy, a chłop zamierzył sie, aby jej dać drugi prosek. Ale baba zmiarkowała, do cego on zmierza, więc odzywa sie:

— Chłopku mój jedyny juzem zdrowa, zdrowiusieńka!

Chłop na babe popatrzył chwile i mówi:

— No chwała Bogu! Kiedyś zdrowa, to te drugą medycyne odniese japtykarzowi. Niech tyle pocciwizna nie skoduje.

Przysed pod japtyke, a ta była znowu zamknięta. Chłop łapie za dzwonek i jak dzwoni, tak dzwoni. Wyleciał japtykarz i pyta:

— Cegóz znowu do choroby chcecie?

— Do choroby nic nie chce — odpowiada chłopek — bo choroby juz nima. Inom odniósł panu japtykarzowi reśte medycyny.

Powiedziawsy to, plusk japtykarza w pape jaze mu sie kiski na lewo odwróciły.

Na drugi dzień po połedniu, kiedy chłop był znowu w robocie, przysła ta druga kumoterka chorą odwiedzić i pyta:

— Jakoz kumoterko, lepi wam?

A ona na to:

— O rany Boskie! Co ja wycierpiała, to nawet organista porachowaćby nie potrafił. Mój przysed z roboty i ujrzał mnie w łózku i posed do japtyki po medycyne i przyniósł ją. Kazał mi usiąść na ławie... a kiej mnie nie wymalował, tożem zaraz z ławy spadła, i powiedział, że dwie takie medycyny przyniósł, ale ja juz tej drugiej nie chciała, bom tej jednej miała dość.

A somsiadka kumoterka pada:

— A to sobie dacie takiemu katowi tak postępować, a dyć weźcie i otrujcie szelme..

— A niby jak? — zapytała sie pirsa kumoterka.

A ta druga jej odpowiedziała, ale co, to juz Wawrzek nie chciał opowiadać, bo mu sie spać chciało, ino przyobiecał, ze to na drugą niedziele wszyćko nam opowie. Bez to tez i ja reśte znowu wam na przysłą niedziele opowiem, a teraz idę spać, cego i wam az do samej śmierci zyce, amen.



Miłość.

Z niej się rodzą tytany poświęceń i chwały —
Czynów, co wiekopomne wznoszą światu gmachy,
Najświętsze poczynania, wzniosłe ideały,
Których żadne nie mogą zwyciężyć watahy.
Miłość to zmartwychwstanie narodów i świata,
To ideał jest z twarzą złocistego słońca,
To jest bóstwo, co ludzi powaśnionych brata —
Rozlewając czar życia od końca do końca!...
Kto jej nie zna, dla tego świat jest chyba niczem,
Cmentarzyskiem, na którem śmierć jedynie gości —
Bo i cóż warto życie z tak martwem obliczem
I sercem, jeśli w niem niema miłości!

Robert Rydz.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Gdy tylko zgromadzeni ujrzeli skazanego, zaczęli go obrzucać najdotkliwszemi obelgami, przyczem niezbyt zaszczytnie odznaczały się kobiety. Orzeł czubaty nie zdawał się zwracać na to najmniejszej uwagi. Kiedyniekiedy szyderski uśmiech ukazywał się na chwilę na zaciśniętych jego ustach. Raz tylko jeden, gdy spotkał zalane łzami oczy Elli, wyraz głębokiej boleści pojawił się na pięknej, szlachetnej jego twarzy; nikt jednak, oprócz młodej dziewczyny, tego nie spostrzegł. Wódz Osagów w mgnieniu oka pokonał



...I przedzierały się ciemne postacie wojowników przez gąszcze.

wzruszenie, skinął ku niej głową z uśmiechem niewymownej słodyczy i życzliwości, mówiąc głosem wdzięcznym i spokojnym:

— Orzeł czubaty żegna białą siostrę swoją. Wyglądał on ratunku do ostatniej chwili, teraz już widzi że umierać musi. Orzeł czubaty potrafi śmierć ponieść tak, jak na wodza przystało.

Oprawcy szybko uprowadzili go dalej, a w kilka chwil potem był już uwiązany rzemiennemi plecionkami do pala. Znowu podniosły się dzikie wrzaski kobiet. Tygrys zębaty wystąpił naprzód, skinął ręką i cisza uroczysta zaległa dokoła.

W mowie napuszonej, pełnej najśmieszniejszych przechwałek, wódz Pawnisów zaczął dowodzić, iż lud jego miał tysiączne powody nienawiści do całego plemienia Osagów, a szczególnie do Orła czubatego, którego Wielki duch oddał w jego ręce. Potem zwrócił uwagę obecnych, że on to sam, Tygrys zębaty, pochwycił tego śmiertelnego wroga, co stanowi zasługę niemałą. Wspomniał z szyderstwem, jak w początkach obawiano się, aby Osagowie nie wypowiedzieli wojny Pawnisom, usiłując wodza swego ratować. On wszakże spokojny był o to, wiedział bowiem, że Osagowie są tchórze i bez wodza swego nie odważą się nigdy na wojenną wyprawę. Nie widział też żadnej potrzeby zabezpieczać się przeciw tej napaści; teraz okazało się, iż miał słuszność. Oto nadeszła ostatnia godzina skazanego, a nikt się o niego nie upomniał, nikt nie próbował nawet go ratować.

Gdy Tygrys umilkł, z kolei głos podniósł Orzeł czubaty. Spokojnie i z umiarkowaniem począł opowiadać o walecznych czynach, których niemało już spełnił, pomimo lat młodych. Lecz więcej daleko od własnego wynosił męstwo swoich wojowników, porównywał ich do Pawnisów i tych z największą pogardą nazywał tchórzami. O śmierci swojej wspomniał jako o rzeczy nic nie znaczącej i mówił na zakończenie:

— Orzeł czubaty wypełniał wiernie wszystkie obowiązki względem swego ludu aż do tej godziny. Wygrał wiele bitew i liczne skalpy nieprzyjaciół wiszą w jego wigwamie. Dzielni wojownicy Osagowie pomszczą niezawodnie krwawo śmierć swego wodza. Niech Pawnisy strzegą odtąd nieustannie swoich skalpów, bo Osagowie śledzić ich będą na różnych ścieżkach. Tygrys zębaty przechwalać się umie, a jest tchórzem, napada odważnie tylko na starców, dzieci i bezbronne kobiety. Ale przekona się Tygrys o waleczności plemienia Osagów; nie zdążyli wojownicy Orła czubatego w porę, by go uratować, lecz tem srożej śmierć jego pomszczą. Orzeł czubaty nie obawia się umierać, jest wojownikiem; śpieszcie więc, tchórze, stare kobiety, psy żarłoczne, rzucajcie się na Orła czubatego, — on śmieje się z waszej złości!

Przeraźliwe, wściekłe wrzaski odpowiedziały na tę zuchwałą mowę Orła czubatego, który w tym celu chciał zniecierpliwić swoich wrogów, aby mu oszczędzili męczarni i prędzej zamordowali. I w rzeczy samej niejeden tomahawk podniósł się groźnie, młodzi szczególnie wojownicy nie mogli tych obelg znieść spokojnie. Ale Tygrys zębaty nie dopuścił do tego; chciał on się napoić wprzódy widokiem cierpień znienawidzonego nieprzyjaciela. Zastrzegł też sobie u Jelenia wrzącego i jego ojca zupełną swobodę postępowania ze swoim jeńcem.

Dał znak ręką i wnet liczna gromada starych kobiet rzuciła się na skazanego. Jędze te obrzucały go obelgami, pięściami mu wygrażały, ogłuszały wrzaskiem straszliwym. Ale to był tylko początek. Okrutne kobiety trzymały w ręku pęki ciernistych gałęzi i poczęły smagać nieszczęśliwego po obnażonych piersiach i plecach, aż póki krew nie wytrysnęła z drobnych, niezliczonych ranek. Potem przystąpiła gromadka wojowników; trzymali w ręku ostre tomahawki i ciskali je szybko jeden za drugim. Ella krzyknęła i z rozpaczą załamała ręce; myślała, że go w jednej chwili zamordują, — ale była to tylko okrutna zabawa. Wojownicy tak zręcznie rzucali broń swoją, że ostrze dotykało pala ponad samą głową skazanego, nie sprawiając mu najmniejszego uszkodzenia. Wieczna hańba spadłaby na niezgrabiarza, któryby go zabił lub zranił tylko. Trwało to dość długo; przez cały ten czas Orzeł czubaty ani drgnął, a chociaż głowę miał zupełnie swobodną, nie poruszył się nawet i nie zmrużył oka, gdy ostre siekierki przelatywały raz po raz tuż za nim. Kiedyniekiedy śmiał się pogardliwie, lżył swoich nieprzyjaciół, zarzucał im tchórzostwo i kobietami nazywał.

Ella zalewając się rzewnemi łzami, z przerażeniem spoglądała na tłuszczę rozszalałą, która takie męczarnie zadawała bliźniemu; chociaż ją opuściła już wszelka nadzieja, jednak mimowoli oczy jej w dal się zwracały, jakby wzywając pomocy, ratunku.

— Niech Sarenka modrooka teraz odejdzie — szepnęła jej do ucha Stokrotka polna — widok będzie coraz okropniejszy; Sarenka nie nawykła do tego, sprawi jej to pewnie wielką przykrość.

— Jeśli go dobiją, przynajmniej cierpieć prze-

stanie — odrzekła Ella — czy to ma zaraz nastąpić?

— O, nie — mówiła Stokrotka polna — nie prędko zabiją oni Orła czubatego, długo jeszcze cierpieć będzie.

— O Boże miłosierny! — mówiła Ella, łamiąc ręce — co za straszne okrucieństwo.

— Niech Sarenka modrooka odejdzie — powtórzyła Stokrotka.

Ella jednak nie odeszła, lecz pod wpływem najżywszej boleści bez namysłu poskoczyła do miejsca, gdzie stał Tygrys zębaty w towarzystwie Jelenia i jego ojca. Biedna dziewczyna chciała błagać o łąskę dla nieszczęśliwego, a chociaż nie miała nadziei zmiękczyć kamiennego serca wodza Pawnisów, nie mogąc jednak stać bezczynnie, postanowiła spróbować tego ostatniego środka. Lecz w tejże samej chwili od strony lasu dały się słyszeć dzikie okrzyki i nagłe zamieszanie powstało pomiędzy Indjanami. Przerażone głosy zewsząd wołały raz po raz:

— Osagowie! Wielki biały myśliwiec!

24. Wesele Jelenia wrzącego.

Jak wiadomo czytelnikom, myśliwiec Serce prawe, a z nim osadnik Wattson i jego syn Jan przybyli w te strony jednocześnie z Pawnisami, powracającymi do swoich rodzinnych siedlisk. Przyszło im to z łatwością, gdyż Indjanie nie spieszyli zbytecznie z podróżą, a Serce prawe, znając doskonale tę całą okolicę, często krótsze drogi wynajdywał. Na szczęście rozległy i gęsty las graniczył z wioskami Pawnisów, mógł więc myśliwiec, ukryty wśród gęstwiny, bystrym swym wzrokiem szpiegować, co się tam działo. Wkrótce wyśledził, w którym szałasie więziony był Orzeł czubaty; dowiedział się także i o tem, że Ella i Tobiasz znajdowali się w drugiej wiosce, na przeciwnym wybrzeżu rzeki.

— To dobrze — szepnął on do starego Wattsona — o córkę pańską i o Tobiasza możemy być tymczasem spokojni. Jeleń wrzący wziął ich oboje w opiekę, Tygrys nie ma już obecnie żadnej władzy nad nimi. Niegodziwiec tem się zadawalnia, że dostał Orła czubatego w swoje ręce. Nie spieszy się z zamordowaniem jeńca, bo pragnie jak najdłużej się nad nim znęcać; bardzo to nam na rękę.

Wszyscy trzej krążyli niespostrzeżeni przez dzień cały w pobliżu wiosek indyjskich i byli świadkami hałaśliwej radości mieszkańców przy powitaniu powracających z wyprawy wojowników. Ale i w nocy Serce prawe nie chciał się oddalać od przyjaciela, zagrożonego tak srogo w rękach śmiertelnych wrogów. Umówił się więc z dwoma towarzyszami i urządzili rodzaj warty nieustającej; każdy z nich kolejno przez kilka godzin czuwał pilnie z daleka nad wioskami indyjskiemi. Nazajutrz o świcie zeszli się razem i długo radzili nad tem, co dalej czynić wypadało.

— Przedewszystkiem — odezwał się Serce prawe — uwiadomić trzeba jeńca, że przyjaciele są w pobliżu.

— Ale jakimże sposobem? — zapytał Jan Wattson?

— Oto takim — odrzekł myśliwiec, i przyłożywszy obie ręce do ust, z zadziwiającą dokładnością począł naśladować gruchanie dzikiego gołębia.

— I on ten znak zrozumie? — pytał znów Jan.

— Najniezawodniej — i myśliwiec powtórzył gruchanie.

— Więc to znak umówiony pomiędzy wami?

— Tak, mamy dużo podobnych znaków, a do każdego, stosownie do pory dnia lub nocy, przywiązane jest pewne znaczenie.

— A zatem jesteś pan pewny, że Orzeł czubaty wie już w tej chwili o naszej tu obecności? — spytał stary Wattson.

— Najpewniejszy. Niepodobna, aby to wołanie, tak dobrze znane, uszło jego uwagi.

— Nie na wiele mu się to przyda, coprawda — mruknął Jan.

— Teraz, rozumie się, nie możemy mu dać żadnej pomocy — rzekł myśliwiec — zawsze jednak ta myśl, że wierny przyjaciel, który już nieraz życie narażał w jego obronie, znajduje się w pobliżu, niemałą mu przyniesie pociechę. Przytem zacznie wyglądać z dnia na dzień odwiedzin tego przyjaciela.

— Odwiedzin? Jak pan to rozumiesz? — spytali jednocześnie obaj Wattsonowie.

— Jakże to mam rozumieć? Odwiedzę go któregoś dnia w więzieniu.

— I kiedyż pan myślisz się puścić na to szaleństwo? Wybacz wyrażenie.

— Nie zaraz. Trzeba trochę wyczekać. Jeniec z czasem dowie się zapewne, jak prędko wyrok ma być na nim spełniony, a dla nas ta wiadomość jest nadzwyczaj ważna.

— Masz pan słuszność, wówczas dopiero potrafimy obliczyć, czy Osagowie zdążą w porę na ratunek swego wodza.

— A jeżeli nie zdążą! — odezwał się Jan — co my poczniemy w takim razie?

— Co do mnie, wiem co uczynię — mówił Serce prawe spokojnie — jedynem mojem zadaniem będzie wymierzyć karę zasłużoną okrutnemu i nikczemnemu Tygrysowi. Potem gotów jestem zginąć razem z przyjacielem moim Orłem czubatym. O życie moje nikt nie dba na tej ziemi. Panowie zaś będziecie mogli ratować się ucieczką.

— A Ella? — rzekł stary Wattson.

— Jej się nic złego nie stanie pod opieką Jelenia wrzącego.

— Czy pan sądzisz, że on ją wypuści z niewoli i pozwoli do nas powrócić?

— O nie, tego Pawnisy nie uczynią nigdy.

— I nam więc nic nie pozostanie, tylko zginąć wraz z panem.

— Tak jest, my stąd nie odejdziemy bez Elli — potwierdził Jan.

— To dobrze — rzekł myśliwiec — jesteśmy więc wszyscy przygotowani na najgorsze. A ja mam nadzieję, że do tej ostateczności nie dojdzie, bo Osagowie pośpieszą, o ile tylko będą mogli. Dałem im pod tym względem stosowne polecenia. Niebezpieczeństwo, rozumie się, największe jest w dzień, a jednak właśnie w biały dzień najpilniej czuwać musimy, gdyż wyroki zawsze około południa bywają wykonywane. Wszyscy trzej jednocześnie nie powinniśmy się nigdy narażać, sądzę więc... Ale wprzód powiedzcie, moi panowie, czy macie we mnie zupełne zaufanie?

—Najzupełniejsze, nieograniczone — odpowiedzieli obaj. Postanowiliśmy słuchać pana we wszystkiem.

— To dobrze. Chodźcież teraz ze mną do tej kryjówki. Gdybyście kiedy usłyszeli trzykrotnie powtórzony w jednakowych odstępach krzyk jastrzębia, będzie to znak, że przyjaciel wasz jest w wielkiem niebezpieczeństwie. Czyńcie wówczas, co za stosowne uważać będziecie, ratujcie się sami ucieczką, lub próbujcie mi dać pomoc. Idźmy.

Myśliwiec ruszył naprzód, dwaj towarzysze poszli za nim i wkrótce przybyli do miejsca, jakby stworzonego na bezpieczną kryjówkę.

— Pozostańcież tu panowie i zachowujcie się jaknajciszej — rzekł Serce prawe. Dowidzenia wieczorem.

Wyrzekłszy te słowa, myśliwiec odszedł. Upłynęło tak dni kilka; nocą wszyscy trzej czuwali kolejno, w dzień obaj Wattsonowie przebywali w swej kryjówce. Z zadziwiającą przebiegłością młody myśliwiec umiał uchronić się od spotkania z Pawnisami i wszelkie ślady tak zręcznie po sobie zacierał, że nieprzyjaciele ani się domyślali takiego szpiega w okolicy.

— Musi w tem coś być — rzekł pewnego wieczoru Serce prawe do towarzyszy — że Pawnisy tak długo się ociągają z zamordowaniem Orła czubatego. Lubią wprawdzie męczyć jeńców takiem wyczekiwaniem śmierci, tym razem sądzę jednak, że inna okoliczność przyczynia się do tego. Może jaka uroczystość ma być obchodzona w tym czasie i chcą ją uświetnić okrutną śmiercią wodza Osagów.

Czytelnicy już wiedzą, że Serce prawe nie mylił się w tych przypuszczeniach

W kilka dni później myśliwiec przyniósł nowinę, że Tobiasz używany jest przez Pawnisów do pilnowania jeńca.

— Teraz podobno najlepsza będzie pora — dodał na zakończenie — muszę się koniecznie dostać do Orła czubatego.

— Że Tobiasz pana nie zdradzi, to pewna — rzekł Jan — tylko...

— Ależ ja wcale nie myślę się pokazywać Tobiaszowi — przerwał żywo myśliwiec — choćby mię nie chciał zdradzić rozmyślnie, przez nieroztropność mógłby narobić hałasu, zanim bym zdążył mu się dać poznać, lub z powodu nagłego wzruszenia. Coprawda, od niego dowiedziałbym się odrazu wszystkiego, na czem mi zależy, ale to rzecz zanadto niebezpieczna. Dlatego jedynie myślę wybrać porę, gdy on na warcie stać będzie, że starowina ten nie może być tak czujny, jak rodowity Indjanin, więc łatwiej mi przyjdzie go podejść.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zdarzenie wiejskie.

Jasne złociste słonko lipca paliło nieznośnie. Z pola bydło wracało do swych obór, bo zbliżało się południe.

Na końcu wsi w cichem ustroniu w pośród zieleni drzew ukryta była chata wiejska. Bielona i z zewnątrz pokryta dachówką, a przed chatą na podwórku widniały narzędzia gospodarskie w porządku poskładane, nad niemi wznosił się dach, chroniący je od deszczu i zniszczenia. Sadek, pełen różnych drzew, starannie utrzymanych, grządki pachnących kwiatów, tudzież niwy starannie uprawne, świadczyły o tem, że tu mieszka pracowity i oszczędny wieśniak.

Pod jednem z rozłożystych drzew siedziało dwoje ludzi: kobieta staruszka i mężczyzna młody w wieku 25 lat, ubrani skromnie, lecz schludnie. Chłopak czytał książkę, a matka słuchała z zajęciem, bo to była niedziela, czas od pracy wolny, którego młody człowiek nie tracił na próżnem włóczeniu się po wsi, lecz wziąwszy pożyteczną książkę do ręki, kształcił swego ducha. Do karczmy nie chodził, śmierdziuchy nie pił, nocami się nie smykał, lecz zato tembardziej pilnował gospodarki, która wyglądała dlatego wzorowo. Drwili z niego koledzy, szydziły zarozumiałe, lecz próżne dziewuchy, ale nic sobie z tego nie robiąc, młody człowiek postępował sobie tak, jak mu zdrowy jego rozum i rozsądek nakazywał. Skutki tego postępowania okazały się błogosławione. Przykupił gruntu, wybudował tę oto chatę i żył po Bożemu dalej szczęśliwie.

Dalej znów w środku wsi wznosił się kościółek wiejski, a obok niego porządne obejście gospodarskie, gdzie zaś nadewszystkiem czuwało oko pracowitego dziewczęcia, jasnowłosej Zosi.

Zosia była dziewczyną 18-to letnią, zgrabną, ładną o twarzy rumianej jak jabłuszko, żółtych i miękkich kędzierzawych włosach, oczkach niebieskich mrugających zalotnie. Ale nadewszystko cechowała ją skrzętność i pracowitość, czego dowodem były liczne kwiaty, sadzone jej rączką i wnętrze chaty ozdobione obrazami, a okna majone kwiatami w doniczkach. Wszędzie biła czystość wzorowa i porządek, będące dziełem drobnych zgrabnych rączek złotowłosej Zosi. Dodać należy, że Zosia była sierotą i pracowała sama na gospodarstwie. Jedną wadę miała tylko Zosia, gdyż muzykę i taniec lubiła nadewszystko, co ją później do zguby przywiodło.

Poznał się na jej przymiotach młody Janek i obudził w duszy tego ducha, co się miłością zwie. Dziewczyna, szanując przymioty Janka, była mu wzajemną i mieli się w zapusty pobrać.

Wtem w grudniu przyjechał do wsi „obieżysas", Staszek, syn bogatego gospodarza Zrzędy. Staszek jednak przy ojcu pracy się imać nie chciał, tylko z wiosną poszedł na całe lato, by hulać jak szalony po całych Niemczech, i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jeszcze, a gdy przyjechał do wsi rodzinnej, cała wieś brzmiała od śpiewu i muzyki, bo był to tanecznik niezrównany. To też dziewuchy przepadały za nim.

Na jednem z wesel, poznał się Staszek z Zosią i tak swą mówką wyszykował, że niebawem podbił serce Zosi, a ta po kilku tańcach, przepadała za nim. Teraz o Janku ani słyszeć nie chciała.

W tydzień później zdziwiony ks. proboszcz zobaczył w swej kancelarji Staszka - obieżysasa z śliczną złotowłosą Zosią, proszących o zapowiedzi. Ks. proboszcz ogromnie tem zaskoczony, a jescze więcej pragnący dobra dziewczęcia, odmówił prośbie młodych, pozorując się brakiem czasu.

Po południu tegoż dnia zaprosił do siebie na pogadankę Zosię i jął jej tłómaczyć, że źle czyni, idąc za Staszka, że z nim szczęścia nie będzie mieć, bo to człek żyjący bez Boga, pusty i próżny, a majątek duży szczęścia nie przynosi, gdy niema przy niem Błogosławieństwa Bożego.

Ale Zosia uparła się przy Staszku i na nic się zdały perswazje ks. proboszcza.

Wkrótce odbył się ślub i młodzi czuli się z początku szczęśliwi. Ale awanturniczemu Staszkowi nie dała natura usiedzieć w doma. Pociągnął z chłopakami do karczmy i z dziewczętami hulał, z kolegami pił, a gospodarstwo marniało, mimo, że Zosia pracowała za dwóch z zaparciem siebie. A gdy mu raz zdecydowała się powiedzieć prawdę w oczy i wezwać do poprawy,

zbił ją pijany rozłoszczony Staszek i wyrzucił za drzwi jej własnego domostwa. I od tego czasu powyższa scena rozgrywała się codziennie, aż jednego razu uderzył ją pięścią w twarz tak silnie, że oko jej z głowy wypłynęło.

Teraz biedna Zośka miała i dla oka coś w podarunku od ubóstwianego niegdyś Stacha i biedy pół kopy w chacie, bo Staszek po tem zdarzeniu wyjechał w świat szeroki i wieść o nim zginęła, a ona została chora z dziećmi w opłakanych warunkach życia.

Wzgardzony przez nią kiedyś Janek, przebolawszy stratę Zośki, którą kochał nad życie, pojął sobie uczciwą dziewczynę w sąsiedniej wiosce i żył z nią długie lata szczęśliwie, pomnażając swój majątek, żył w poważaniu u ludzi, bo żył z Bogiem, a Bóg z nim.

Waw. Miesiączek.



Cudowny dąb w Altino.

Altino, mała mieścina we włoskiej prowincji Abruzzo, położona wzdłuż brzegów Adrjatyku, stała się od dni kilku, celem przelicznych pielgrzymek wiernych, przywołanych nadzieją ujrzenia Matki Boskiej, która miała się zjawić pewnej młodej wieśniaczce, wśród zieleni starego dębu na ruinach starej świątyni. Wieść o cudownem objawieniu rozniosła się błyskawicznie, tak, że obecnie ze wszystkich stron środkowych i południowych Włoch spieszą tłumy ciekawych, wierzących i chorych w nadziei ujrzenia cudu lub wyzdrowienia z kalectwa. Pewna dziewczynka, głuchoniema od urodzenia, odzyskała nagle mowę i słuch, gdy tylko zbliżyła się do cudownego dębu.

Starożytne podanie, gubiące się w dalekiej przeszłości głosi, że ktoby się dotknął najmniejszego nawet kamienia z pozostałych gruzów zburzonej starożytnej pogańskiej świątyni, która wznosiła się w pobliżu cudownego drzewa, tego miały spotkać najstraszliwsze ciosy, a nawet śmierć. Opowiadają, że pewna kobieta, lekceważąc podanie, popchnęła nogą jeden taki kamień, leżący na brzegu drogi; gdy wróciła do domu zastała swego jedynego syna bez życia. Nikt od tego dnia nie ośmieliłby się naśladować biednej matki. Kamienie starej świątyni zanurzyły się z biegiem lat w ziemię, jakby w grobowiec, tworząc rodzaj płotu naokoło cudownego dziś drzewa.

Pewnej niedzieli, gdy przybyła do Altino liczna pielgrzymka z okolic, wydarzył się nadzwyczajny wypadek. Podczas, gdy obecni w skupieniu byli pogrążeni w modlitwie, starzec, nazwiskiem Rafael Scutti (Skuti), wpadł nagle w rodzaj zachwycenia, wołając radosnym głosem: „Widzę, widzę!“ W tej samej chwili cud stał się widocznym dla wszystkich tam obecnych.

Dąb cały jest już ozdobiony wieńcami, a na gałęziach wierni pozawieszali dziękczynne dary. Właścicielem gruntu, na którym wznosi się drzewo, jest sama gmina Altino, to też radni miasta, po kolei, stoją na straży przy dębie, aby nie dopuścić do nadużyć, łatwo się wydarzających przy porwanych wiarą tłumach. Cudowne zjawisko powtórzyło się również przed trzema tygodniami. Podczas przerwy w modłach, pewien mały chłopiec srebrzystym głosem krzyknął: „Patrzcie, jaka piękna Pani!“ Tłum cały z ogromnem wzruszeniem zwrócił się w jego stronę i w tej samej chwili ujrzeli niewytłumaczone zjawisko. Trzy nauczycielki miejscowe, również widziały osobliwe zjawisko nad szczytem drzewa.

Właściciel księgarni w Altino, opowiadając o wydarzeniu którego sam był świadkiem, dodaje wzruszony: „Ja, co nie chciałem nigdy wierzyć w Matkę Boską, dziś ze skruchą wyznaję moją wiarę i błagam o litość.“ Na miejsce cudu wyjechała komisja duchowna z ramienia djecezji rzymskiej, która ma zbadać dotychczasowe zjawiska, poruszające wprost niemal całe Włochy.

W ostatniej chwili nadeszły dalsze szczegóły o cudzie w Altino: oto jednej nocy, bez żadnej przyczyny dąb stanął nagle w płomieniach. Kiedy przerażeni radni miasteczka zamierzali rozpocząć gaszenie pożaru, płomienie bez niczyjej pomocy zgasły, — ale nic na dębie nie spłonęło, ani jeden listek nie zniszczał. Zapalono tysiące świec naokoło drzewa i nowy osłupiający wypadek okazał się przerażonym tłumom. Świece i pochodnie paliły się i oświetlały dąb, lecz po dwugodzinnem paleniu się, nie zmniejszyły się ani o milimetr. Nowy cud jest tym razem dla wszystkich widocznym. Wszycy oczekują wyroku władz kościelnych, gdyż rzeczywiście wydarzenia nie dadzą się zaprzeczyć.



Poradnik gospodarczy.

Podobnie jak ludzie i zwierzęta podlegają i rośliny, a zwłaszcza drzewa owocowe różnym chorobom. Często spostrzegamy na pniach i gałęziach drzew rany, które są zamknięte lub otwarte. Przyczyną tych ran jest rak drzewny. Rak drzewny powstaje, gdy nieodpowiednią odmianę odmianę drzewka sadzimy na niestosownej ziemi, gdy koło drzewka jest gleba nieprzepuszczalna i gromadzi się woda, gdy wreszcie ziemia nadmiernie znawożona, lub drzewko za głęboko posadzone, gdy części drzewka odmrożone, zaś rana nie wyczyszczona przez wycięcie i zasmarowana. Raka powoduje najczęściej gąsienica pewnego motyla, która toczy drzewko pod korą i wskutek tego drzewko zranione i nie odpowiednio leczone usycha i ginie.

Aby zapobiedz tej chorobie, należy tylko odpowiednio dobrane odmiany sadzić na gruncie suchym lub osuszonym odpowiednio. Przy dawaniu tłustego nawozu nie zapominać o zwapnianiu gruntu, zaś zranione drzewko odpowiednio leczyć.

Gdy kora popęka od mrozu, należy z wiosną chore miejsce naciąć, ranę wyczyścić i zasmarować. Odmrażaniu kory zapobiega dobre jesienne pobielenie drzewa.

Gdy drzewko ma za dużo wilgoci lub brak pokarmów, liście żółknieją i drzewko marnieje. Należy mu dodać odpowiednich pokarmów przez podlanie go gnojówką, a gdy ma za mokro, należy ziemię osuszyć,

gdy zaś ma za sucho, to należy wieczorem silnie podlewać.

Drzewa pestkowe często chorują na wypuszczanie z siebie cieczy kleistej, która zastyga na powietrzu; jest to tak zwane gumowanie. Przyczyną gumowania drzew jest uszkodzenie kory, odmrożenie, lub nieostrożne ucinanie silnych konarów. Gdy zauważymy gumowanie drzewa, należy miejsce to starannie wyczyścić, zalepić maścią, zaś w pobliżu rany gumującej naciąć podłużnie korę drzewka.

Na liściach często dają się spostrzegać plamy, dalej kora popękana na gałązkach, owoc chropowaty, często popękany, jakby parszywy wskutek tego ma wygląd a nawet i smak nieprzyjemny. Chorobę tę powoduje grzybek pojawiający się na gruszach, a nawet na niektórych odmianach jabłoni. Jedynym środkiem zaradczym przeciw tej chorobie jest skrapianie drzew tak zwaną „Cieczą bordowską". Skrapianie to przeprowadzić należy z wiosną, gdy drzewo liście rozwija, i po okwitnięciu gdy się już pokazują zawiązki owoców. Jeżeli jednak drzewko silnie zakażone, to gałązki z popękaną korą należy wyciąć i usunąć z ogrodu przez spalenie, aby innych drzew nie zarażać.

Ciecz bordowska niszczy również i inne rodzaje grzybka, które napadają drzewa pestkowe, jak śliwy, brzoskwinie i wiśnie.

Agrest pochodzi z północy, udaje się na każdym gruncie, a nawet i w cieniu pod drzewami. Agrest rozmnaża się przez sadzonkowanie, odkłady, dzielenie krzaków, które to sposoby już w „Roli" obszernie podane.

Agrest mamy w czterech barwach; czerwony, zielony, żółty i biały. Czerwona odmiana wyborna jest na różne marmolady, zaś zielony na różne przeroby w całości, żółta i biała odmiana na wyrób win. Agresty o cienkiej skórce najsoczystsze. Czas dojrzewania przypada na koniec czerwca i początek lipca. Najlepiej opłacają się wczesne odmiany.

W jesieni należy agrest dobrze okopać, wyplewić wszelike chwasty i dobrze znawozić. Z wiosną kwitnący agrest silnie mioduje i daje wczas dobry zbiór pszczołom, mając kwiatuszki osadzone na długich szypułkach, nic sobie nie robi z wszelkiej słoty i deszczy, ale zwisające dzbanuszki kwiatowe pełne są słodkiego nektaru, i czekają na chwilę słoneczną, aby go oddać pracowitym pszczółkom.

W ogrodnictwie agrest odgrywa rolę kopciuszka, a daje duże dochody.

Jest to niechybnie ratunkiem dla człeka,
Gdy na nieszczęście spokojnie nie czeka,
Lecz przeciw niemu podąża z nadzieją,
Że czarne chmury przed nim się rozwieją.

A. St. B.

KRONIKA.

Przeniesienie prochów Słowackiego na Wawel. Jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim numerze, we wtorek 28 czerwca odbyło się przeniesienie prochów Juljusza Słowackiego na Wawel, które sprowadzono do kraju aż z Francji. O 9 rano w Barbakanie ks. prałat Ślepicki odprawił Mszę św. żałobną, ruszył olbrzymi pochód, przeszedł ulicami Basztową, Sławkowską, Rynkiem Linją A-B, koło kościoła N. M. Panny, koło kościoła św. Wojciecha, strażnicy wojskowej, ulicą św. Anny, Podwalem, Straszewskiego, Podzamcze, Grodzką, Bernardyńską do Wawelu. Pochód otwierało 9 trębaczy 8 pułku ułanów z Krakowa na białych koniach, a za nimi postępowała orkiestra połączona 6 dywizji piechoty 12, 16 i 20 pułków piechoty i kompanja honorowa 20 pułku piechoty ziemi krakowskiej. Za kompanją honorową przesunął się długi korowód wieńców. Tuż przed trumną postępowały szeregi duchowieństwa świeckiego i zakonnego, a sam kondukt żałobny prowadził ks. biskup Godlewski.

Rydwan z popiołami zaprzężony był w 6 koni arabskich, a otaczały go z obu stron poczty sztandarów 13 pułków; koło sztandarów postępowali oficerowie, jako warta honorowa.

Gdy rydwan z trumną zbliżał się do stóp Wawelu, odezwał się głos Zygmunta wraz z wszystkiemi dzwonami katedry, rozległy się dźwięki orkiestry i chórów. Stoki Wawelu zajęte były przez tłumy publiczności. Ustawiona opodal barwna banderja Krakusów witała popioły wieszcza. Pochód obszedł wzgórze wawelskie i przez ul. Grodzką wkroczył na plac Bernardyński wspaniale udekorowany. Tutaj odprzężono konie od rydwanu, a orkiestra wojskowa zagrała marsz żałobny. Wśród ulewnego deszczu zniesiono trumnę z rydwanu, którą wzięli na barki najpierw przedstawiciele stanów, później członkowie ścisłego komitetu, a następnie od bramy zamkowej oficerowie. Przy dźwiękach pieśni żałobnych pochyliły się wszystkie sztandary, oddając hołd popiołom poety.

Pochód przez bramę boczną wkroczył na dziedziniec arkadowy zamku królewskiego. Wzdłuż czterech boków dziedzińca utawiły się delegacje z wieńcami, orkiestra wojskowa i korpus oficerski. Wniesioną trumnę ustawili oficerowie na podwyższeniu obitem czerwonem suknem, a wokół stanęły poczty sztandarowe i duchowieństwo, ministrowie Moraczewski, Dobrucki, Składkowski i Miedziński, weszli na krużganki. Na pierwszem piętrze na tle prześlicznego arrasu z orłem polskim pojawił się marszałek Piłsudski, szybkim krokiem przystąpił do balustrady i wygłosił dłuższą mowę.

W katedrze oczekiwali przybycia zwłok ks. metropolita Sapieha wraz z biskupami Godlewskim i Rospondem. Przed ołtarzem św. Stanisława ustawiono piękny, pokryty czerwonym pluszem katafalk, wokoło którego płonęło kilka ogromnych świec. Oficerowie, przy dźwiękach orkiestry ustawionej przed wejściem do katedry wnieśli trumnę do wnętrza i ustawili ją na katafalku. Po pieśniach żałobnych odśpiewanych przez chór cecyljański, wstąpił na mównicę ks. biskup Godlewski i wygłosił piękne przemówienie, wysłuchane ze skupieniem przez obecnych.

Po tej przemowie arcybiskup krakowski książę Sapieha odprawił modły a chóry kościelne wykonały podniosłe pienia religijne. Po odmówieniu Ojcze Nasz przez wiernych w świątyni trumnę zniesiono do krypty. Pierwszy wszedł do krypty i złożył hołd prochom

wieszcza marszałek Józef Piłsudski, jako przedstawiciel rządu polskiego. Artylerja forteczna w momencie składania prochów Juljusza Słowackiego do grobów królewskich oddała 101 strzałów armatnich, oddając tym sposobem wieszczowi należne mu honory w imieniu całego narodu. Stary Zygmunt, dzwon wawelski, rozbrzmiał swą historyczną pieśnią, którą podchwyciły wszystkie dzwony w Ojczyźnie Słowackiego. Delegacje pokryły trumnę wieńcami, śmiertelne szczątki wieszcza na wieczne spoczęły czasy w podziemiach wawelskich, a Polska cała jak długa i szeroka połączyła się w hymnie uwielbienia dla Tego, który umiał Jej wskazać drogi życia i odrodzenia.

Kardynałowie w Polsce. Dnia 29 czerwca b. r. a więc w dzień św. Piotra i Pawła Prezydent Rzeczypospolitej wręczył ks. arcybiskupowi Hlondowi biret kardynalski. Z tej okazji warto przypomnieć, ilu było kardynałów w Polsce. A więc pierwszym był Wacław książe Lignicki Piast, biskup wrocławski na Śląsku, mianowany przez Urbana VI. 1381 r. Wszakże uważany był on za Niemca i sam za takiego się miał, a nadto godności tej nie przyjął. Właściwie więc pierwszym kardynałem polskim był Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, mianowany przez papieża Mikołaja V 1449 r. Szereg dalszych kardynałów polskich jest następujący: Izydor Bulgar metropolita kijowski, mianowany 28 grudnia 1439 r., Aleksander ks. Mazowiecki Piast, biskup wyderski, mianowany 1440 r., Wincenty Kot z Dębna, arcybiskup gnieźnieński, mianowany przez Feliksa V, purpury nie używał, zmarł w Rzymie 1450 r., Fryderyk Jagiellończyk, królewicz polski, arcybiskup gnieznieński i biskup krakowski, mianowany 20 września 1493 r., Stanisław Hozjusz, biskup warmiński, mianowany 1561 r., Jerzy Radziwiłł, biskup wileński, od r. 1591 biskup krakowski, mianowany 12 grudnia 1583, Andrzej Batory, opat czerwiński, bratanek króla, mianowany 1584 r., Bernard Maciejowski, biskup krakowski. mianowany 1604 r, Jan Olbracht, królewicz polski, biskup warmiński i krakowski, mianowany 1633 r., Jan Kazimierz, późniejszy król polski, mianowany 1646 r., złożył godność, Michał Stefan Radziejowski, biskup warmiński, mianowany 1686 r., później arcybiskup gnieźnieński i prymas, Jan Kazimierz Denhof, poseł polski w Rzymie, opat mogilski, mianowany 2 września 1686 r., Jan Aleksander Lipski, biskup krakowski, mianowany 20 grudnia 1737 r., Michał Lewicki, arcybiskup lwowski, obrz. grecko-kat., mianowany 1856 r. Mieczysław Ledóchowski arcybiskup gnieźnieński, mianowany 1872 r., Włodzimierz Czacki, bisk. Solominy in p. inf., mianowany 1882 r.. Albin Dunajewski, książe biskup krakowski, mianowany 1890 r., Sylwester Sembratowicz, arcybiskup lwowski, obrządku grecko-kat., mianowany 1895 r., Jan kniaź na Kozielsku Puzyna, książe biskup krakowski, mianowany 1901 r.

W odrodzonej Polsce zamianował Ojciec św. Benedykt XV kardynałami ks. arcybiskupa Kakowskiego i ks. arcybiskupa Dalbora, obecnie zaś Ojciec św. Pius XI ks. prymasa Hlonda.

W kolegjum kardynalskiem, liczącym obecnie 68 członków, znajduje się 36 Włochów, 6 Francuzów, 5 Hiszpanów, 4 Niemców, 4 Amerykanów, 2 Polaków, 2 Anglików, 2 Austrjaków, 1 Belgijczyk, 1 Holender, 1 Węgier, 1 Irlandczyk, 1 Portugalczyk, 1 Brazylijczyk i 1 Czech. Liczba włoskich kardynałów była dawniej większa aniżeli dzisiaj. Za czasów Grzegorza XVI w r. 1846 było 8 kardynałów nie włoskich, dziś zaś jest ich 32. Papież Leon XIII podniósł liczbę kardynałów zagranicznych.

Samobójstwo w Tatrach. Z Zakopanego donoszą: W ubiegły czwartek rano znalazł góral pasący bydło w lasku na Bystrem, zimne zwłoki młodego człowieka z przestrzeloną skronią, trzymającego w ręku kurczowo mały rewolwer. Zawiadomione organa policyjne stwierdziły, że samobójcą jest Henryk Szefer, lat 23. student wydziału prawnego uniwersytetu w Warszawie, zamieszkały w Płocku, zaś w Zakopanem na Olczy, przebywający od 24 maja. Samobójstwa dokonał o 11 w nocy w miejscu, gdzie go znaleziono. Przy denacie znaleziono portfel z trzydziestu kilku złotymi, dokumentami osobistymi, oraz kilka listów, z których jeden do rodziców pisany w dniu 30 czerwca o godzinie 6 wieczór w restauracji „Pod kościołem", podaje jako powód samobójstwa niechęć do życia.

Dwa wyroki. Z Sanoka donoszą: Trybunał sędziów przysięgłych w Sanoku, rozpatrywał onegdaj sprawę Kołodzieja, oskarżonego o zbrodnię morderstwa, popełnionego na osobie jego żony. Po przesłuchaniu świadków i przyznaniu się oskarżonego do winy, skazano Kołodzieja na karę śmierci przez powieszenie. — Drugą z kolei była sprawa B. Burantówny, oskarżonej o zamordowanie swej koleżanki w celach rabunkowych. Po długiej i bardzo ożywionej rozprawie, zasądzono Burnatównę tylko na 12 lat ciężkiego więzienia ze względu na młody wiek (18 lat) i nienaganną przeszłość oskarżonej. W obu wypadkach obrona wniosła zażalenie nieważności.

Pościg za rabusiem. Przed paroma dniami odwiedził swą siostrę, zamieszkałą przy ulicy Brackiej l. 16 w Warszawie Wł. Łukowiec, kierowca samochodu. Samochód pozostawił w pobliżu domu pod opieką 13-letniego chłopca. Po chwili do samochodu podszedł nieznajomy mężczyzna.

— Możesz odejść — rzekł do malca. — Ja popilnuję samochodu. I zasiadł przy kierownicy, a gdy chłopiec znikł za zakrętem, odjechał. Nie znalazłszy samochodu Łukowiec niezwłocznie zawiadomił o kradzieży policję oraz wydział ruchu kołowego. Poza tem na własną rękę wszczął poszukiwania. Onegdaj, przechadzając się w Alei Jerozolimskiej, ujrzał swój samochód, prowadzony przez obcego mężczyznę. Nie zdążył zastąpić mu drogi, wskoczył więc do przejeżdżającego samochodu i krzyknął:

— Jazda! Gazu, panie kolego! Złapiemy rabusia!

Rozpoczął się szalony pościg. W pobliżu byłych rogatek oba auta zrównały się mniej więcej. Łukowiec zdecydował się na krok dość ryzykowny. Wskoczył w biegu do samochodu, złapał złodzieja za kark i nacisnął hamulec. Motor stanął. Przybiegł zwabiony zgiełkiem policjant. Osobnikiem, który w tak bezczelny sposób zawładnął cudzą własnością okazał się szofer, pozbawiony prawa jazdy i raz już karany, Bronisław Grochocki. Osadzono go w więzieniu.

Sprzedaż cudzego domu. Przed kilku miesiącami powstało w Warszawie zrzeszenie współdzielcze „Polska praca zawodowa w kraju". Początkowo do zrzeszenia należało wielu wyższych wojskowych emerytów i wybitnych osób cywilnych. Kiedy jednak zauważono, że wybrany na kierownika, niejaki Józef Kuliński, zdradza objawy szantażów i złodziejstwa, prawie wszyscy członkowie wycofali się ze zrzeszenia, a pozostał jedynie Kuliński i wdowa po pułkowniku Marja Wolicka. Wkrótce przyjął Kuliński cały szereg wspólników. Dnia 4 maja w ten sposób odnowione zrzeszenie wybrało zarząd oraz radę nadzorczą a następnie zaczęło radzić jakby zdobyć pieniądze. Wkońcu wynaleziono interes. Mianowicie postanowiono sprzedać dom Juljana Sowadskiego, bogatego ziemianina i przemysłowca z kaliskiego przy ul. Próżnej 12, korzystając z tego, że Sowadski bywa rzadko w Warszawie. W sprawie sprzedaży zwró-

cili się oszuści do znanych w sferach finansowych braci Pinkusa, Jankiela i Symchy Hoffenbergów, znanych ze spekulacyjnego kupna kamienic, dokonywanych w ten sposób, że potrzebującym pieniędzy właścicielom kamienic pożyczali pieniędzy, a na zabezpieczenie brali fikcyjne akty kupna-sprzedaży, tak, że w razie niezapłacenia długu zyskiwali kamienicę za jedną trzecią wartości. Posiadają oni w tej chwili 7 kamienic w Śródmieściu. Bracia Hoffenbergowie zgodzili się kupić kamienicę za 60.000 dolarów gotówką, po pewnym namyśle jednak oświadczyli, że wpłacą 20.000 dolarów, a 40 złożą w ratach i towarach. Sporządzono odnośny akt u notarjusza, który potwierdził lekkomyślnie, że znany mu osobiście Juljan Sowadski sprzedaje kamienicę. Hoffenbergowie wpłacili rzekomemu Sowadskiemu 20.000 dolarów i poszli oglądać kamienicę. Tu jednak okazało się, że zarządca domu nic nie wie o sprzedaży, a Sowadski nie mieszka w Warszawie. Oczywiście sprawę oddano do policji, która rozpoczęła dochodzenia i przy tej sposobności wykryła, że „Polska praca zawodowa w kraju“ jest stowarzyszeniem oszustów. Tych, którzy brali udział w oszustwie aresztowano, z wyjątkiem osobnika podającego się za Sowadskiego. W lokalu zrzeszenia znaleziono szereg sensacyjnych materjałów, między innemi kilkanaście pieczątek niemieckich i francuskich, ogłaszających między innemi, że zrzeszenie posiada stocznie i przyjmuje zamówienia na budowę okrętów. Czy zdołali „nabrać“ kogoś z zagranicy na budowę okrętów w Warszawie, oczywiście narazie nie wiadomo.

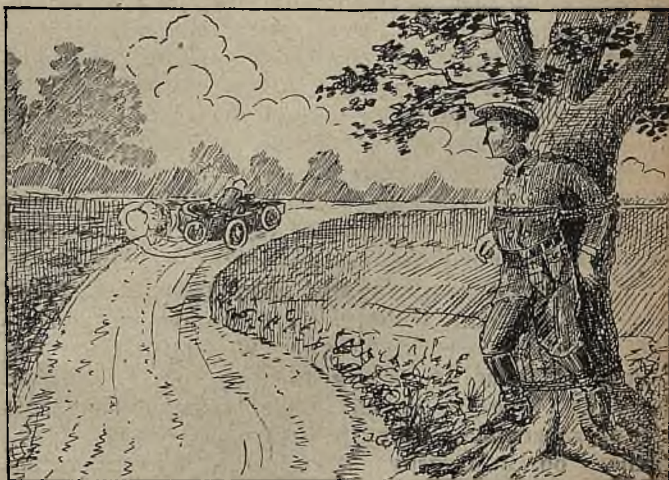
Burżuj Wojkow. Zamordowanemu posłowi sowieckiemu Wojkowi ofiarowała policja polska kilkakrotnie osobistą ochronę. Wojkow stale odrzucał jednak tę propozycję i chodził stale po mieście bez towarzystwa agentów, nieraz nawet zupełnie sam. Wojkow lubił przechadzki wieczorem i nocą. Pewnego wieczora doszedł do cichej uliczki przybrzeżnej. Spotkało go tam zdarzenie, o którem opowiadał w dyplomatycznych kołach stolicy. Z ciemności ulicznych wystąpił nagle żebrak, domagający się natarczywie pieniędzy, przyczem przystąpił tak blisko do Wojkowa, że poseł musiał go odepchnąć. Ponieważ zaś Wojkow był bardzo silny, więc uczynił to niezbyt miękko. Żebrak upadł, powstał jednak szybko i grożąc ręką oddalającemu się Wojkowi, krzyczał:

— Ty burżuju! Poczekaj, niech tylko stworzymy tu sowiety, to na ciebie wpierw przyjdzie kolej!

Tragiczny zgon strażaka. Z Poznania donoszą: W czasie zjazdu strażackiego na krótko przed ćwiczeniami straży pożarnej zaszedł na terenie Targów Poznańskich tragiczny wypadek. 25-letni członek straży pożarnej ochotniczej w Czeladzi, Wacław Olechowski, wspiął się po drabinie na wysokość 3-go piętra, by przyjść z pomocą jednemu z pracowników, zajętemu przy budowie tak zwanej spinalni. Olechowski podając linę, pośliznął się po mokrym od deszczu stopniu drabiny i runął głową na ziemię. Skutek upadku był straszny. Metalowy kask wbił mu się w głowę, gruchocąc czaszkę. Olechowski zmarł na miejscu.

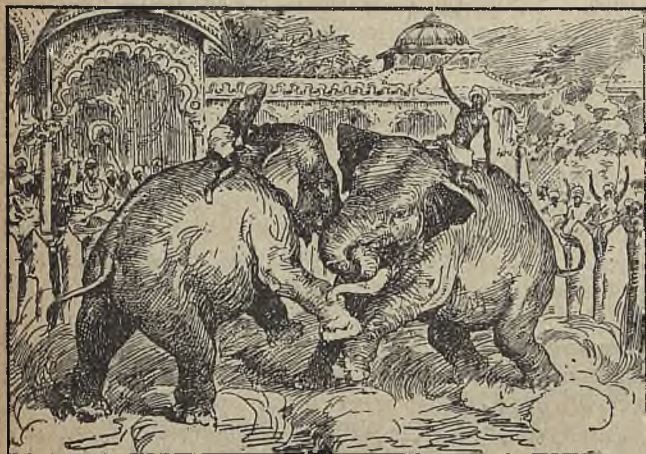
Szkolnictwo powszechne w r. 1926/27. W roku szkolnym 1926/27 Polska posiada ogółem 26.565 szkół powszechnych, z liczbą dzieci 3,239.935 i nauczycieli 68.343. Z liczby powyższej na szkoły publiczne przypada 25.316, na prywatne zaś 2.249. Warszawa posiada 336 szkół, obsługiwanych przez 3.384 nauczycieli, z liczbą dzieci 85.123. Według podziału na województwa, przypada najwięcej szkół na województwa: poznańskie (2.550), warszawskie (2.462 bez stolicy), lwowskie (2.349), łódzkie (2.180), lubelskie (2.145), najmniej śląskie (649), poleskie (897), nowogródzkie (1.074), stanisławowskie (1.132) i wołyńskie (1.142).

Nieuchwytny bandyta. Dziesięć tysięcy dolarów wyznaczył związek bankierów w Oklohamy, jako nagrodę dla tego, kto ujmie i dostawi żywego, czy umarłego 21 lat liczącego bandytę Mateusza Kimesa. Wysoką tą premją chcą zachęcić bankierzy w Oklohamie policjantów do wyjątkowej odwagi, jaka będzie potrzebna do złapania człowieka zwanego tam popularnie „boy bandit of Oklohama“. Młody bandyta, stojący na czele również młodocianych współtowarzyszy, jest jednym z najzuchwalszych rabusiów bankowych, którzy w ostatnich dniach grasowali w Stanach Zjednoczonych. Nie cofa on się przed żadną przeszkodą i umie wywinąć się z rąk sprawiedliwości. Ma przytem niezrównane metody momentalnego znikania z terenu swej zbrodniczej działalności. Przed niespełna rokiem Kimes zamordował policjanta, który przeszkadzał mu w obrabowaniu banku. Zaaresztowany i osadzony w więzieniu znalazł się wkrótce na wolności, gdyż jego podwładni urządzili napad na więzienie i uwolnili go. Od tego czasu Kimes teroryzował całą okolicę razem ze swoimi towarzyszami i doprowadził do tego, że nietylko rząd, lecz nawet prywatni bankierzy naznaczyli na głowę jego cenę. Przed dwoma tygodniami widziano młodego bandytę jak jechał autem przez środek miasta Pawhuska. Zawiadomiono natychmiast policję, która zaczęła pościg z tego miejsca, gdzie go widziano. Niestety skonstatowano, że bandyta miasteczko już opuścił. Wobec tego policjanci puścili się za nim w kilku autach i dopędzili go na gościńcu. Dali oni kilkanaście strzałów i podziurawili pneumatyki w aucie, tak, że Kimes nie mógł dalej jechać. Rozbójnik wyskoczył z wozu, przebiegł przez gościniec na inną drogę, skoczył momentalnie do przejeżdżającego auta, w którem siedział jakiś farmer i przytulił się tak blisko niego, że ścigający go policjanci nie mogli strzelać, w obawie zastrzelenia farmera. Kimes wyrzucił następnie chłopa na gościniec, ujechał jeszcze kawałek drogi, wyskoczył z wozu i znikł w sąsiednim lesie. W tydzień później zjawił on się ponownie na widowni. Widocznie potrzebował pieniędzy, gdyż obrabował bank, przyczem jeden policjant poległ z ręki zbrodniarza. Pościg kilkudziesięciu żołnierzy nie dał żadnego rezultatu.



Na drugi dzień znowu Kimes wypłynął w miasteczku Jenlings. Wsiadł do jakiegoś automobilu i ruszył przez miasto. Policjant zaaresztował go, ale w kilka minut bandyta był znowu wolny. Będąc kolosalnie silnym, zmógł policjanta i przywiązał go do drzewa, poczem pojechał dalej. Teraz policja i wojsko z psami policyjnymi przedsiębiorą za nim w tych okolicach obławę.

Walka słoni należy do ulubionych i najkosztowniejszych rozrywek ludu na półwyspie Indyj w Azji. Stary czy młody, ubogi czy bogaty, spieszy i przez kilka godzin z zapartym oddechem przypatruje się jak dwa potwory starają się zwalić jeden drugiego z nóg i poszarpać kłami. W ostatnich czasach rząd angielski stara się przeszkadzać tym widowiskom, ponieważ roznamiętniają, uczą lubować się w rozlewie krwi i utrzymują ludność w stanie barbarzyńskiej dzikości. Całkiem zabronic tego rząd angielski nie może, bo walki słoni należą do najprzyjemniejszych rozrywek książąt indyjskich, tak zwanych maharadżów. którzy ogromne pieniądze wydają na te igraszki krwawe.



Taki pojedynek przedstawiony jest na obrazku naszym. Na każdym słoniu siedzi Indus i kieruje swcjem zwierzęciem, nawołując go i kierując każdym ruchem, pokazując zmyślnemu potworowi słabe miejsca przeciwnika. W głębi placu widać altany, pod któremi siedzą zaproszeni goście a w środku orszak maharadży.

Katastrofa samolotu pasażerskiego. W pobliżu Landeshut na niemieckim Śląsku zdarzyła się wstrząsająca katastrofa samolotu pasażerskiego, kursującego na linji Warszawa-Praga-Paryż. Prowadzący samolot pilot Ludwik Strzelczyk, zabłąkawszy się z powodu mgły, obniżył lot celem zorjentowania się i wówczas aparat zawadził o szczyty drzew, o które się rozbił. Pilot i jedyny pasażer, dyrektor Towarzystwa telefonów z Pragi czeskiej, Griebsch, zostali zabici na miejscu. Huk, spowodowany upadkiem samolotu, był tak wielki, że ludność miejscowa sądziła, iż to nastąpiła gdzieś eksplozja. Na miejscu katastrofy znaleziono szczątki samolotu i zwłoki jej ofiar, przedstawiające zbitą masę. Głowa zabitego pilota i jedna noga oderwane leżały daleko od tułowia. Pasażer ma skórę na twarzy zdartą aż do uszu. Tożsamość osób stwierdzono ze znalezionych dokumentów.

Romantyczna przygoda pary turystów. Przed dwoma tygodniami wybrało się towarzystwo złożone z 10 osób na wycieczkę w Alpy. W pobliżu Saint Foy spotkała ich straszliwa przygoda. Gdy turyści schodzili z górskiego szczytu spadła nagle lawina i pogrzebała parę narzeczonych, którzy w krytycznej chwili oddalili się nieco od towarzystwa. Zrozpaczeni wycieczkowicze wrócili w dolinę i zorganizowali wyprawę, która miała odgrzebać ciała tragicznie zasypanych. Po kilkudniowej wytężonej pracy nie napotkali nigdzie trupów. Tymczasem słońce przygrzewało, śnieg stopniał, a z pod zasypanej skały ukazała się para narzeczonych. Jaśnieli radością i żal im nawet było, że tak prędko skończyła się ich niewola we dwoje. Narzeczeni w cudowny sposób uniknęli śmierci. Gdy zawisło nad nimi niebezpieczeństwo znajdowali się właśnie obok skalnej groty. Młodzieniec zorjentował się w jednej chwili, wskoczył do wnętrza i pociągnął za sobą narzeczoną. Nad głowami ich przeleciała lawina i zatarasowała wejście. Zostali cali lecz uwięzieni. Ciepłe ubrania i zapasy żywności uratowały ich od śmierci.

Dziewięcioletnia pisarka. „Dom bez okien, czyli jakim był żywot Sephepsa“ oto tytuł powieści, której autorką jest młodziutka Angielka, Barbara Tollett; napisała tę książkę, mając 9 lat, niestety jednak rękopis zginął był w czasie pożaru. Dziś, po upływie trzech lat, napisała ponownie ta najmłodsza literatka swoje dzieło, które w najbliższej przyszłości ukaże się na półkach księgarskich, ponieważ krytycy, po zaznajomieniu się z rękopisem przyznali mu dużą wartość literacką.

Cnota milczenia. Angielki doszły do przekonania, że gadatliwość kobieca jest wadą, komplikującą niejednokrotnie pożycie małżeńskie, wobec czego mieszkanki Manchesteru założyły klub, mający na celu wyuczyć członkinie sztuki milczenia. Są one zobowiązane spędzać codziennie conajmniej pół godziny w lokalu stowarzyszenia, i przez cały ten czas zabrania im się najsurowiej otwierać ust. Za każde wymówione słowo ściągana jest grzywna, której rozmiar wzrasta w razie recydywy. Podobno klub cieszy się, nie bacząc na ostrą regułę, dużem powodzeniem.

Trzęsienie ziemi na Krymie. Z Krymu donoszą o trzęsieniu ziemi, które dało się odczuć w nocy w Sebastopolu, Symferopolu, Kierczu, Jałcie i innych miastach. Trzęsienie ziemi trwało 5 sekund, było jednak tak silne, że wiele domów się zarysowało. Najsilniej dało się ono odczuć na wybrzeżu morza Czarnego między Teodozją a Sewastopolem. Między Jałtą a Ałupką obniżyła się zachodnia część szczytu Alperti, w wielu miejscach nastąpiło oberwanie skał.

Dziewczęta tureckie giną. Władze tureckie walczą energicznie z nieznanym dotąd objawem, który przybiera niepokojące rozmiary. W Konstantynopolu i innych miastach tureckich znikają raz po raz młode dziewczęta, córki szanowanych rodzin, posiadające wyższe wykształcenie i wychowane po europejsku. Istnieje więc przypuszczenie, że w Turcji usadowiła się banda handlarzy żywym towarem i wyzyskuje niedoświadczenie dziewcząt oraz ich pęd do samodzielności. Przed kilku dniami znikła bez śladu 19-letnia Sewim Hanum, córka jednego z najbogatszych kupców konstantynopolitańskich. Przystojna i inteligentna dziewczyna oddawała się z zamiłowaniem sportowi wioślarskiemu i posiadała własną łódź motorową, na której odbywała często przejażdżki po Bosforze. Widziano ją, gdy udawała się do przystani i od tej chwili ślad po niej zaginął. Ojciec wyznaczył wielką nagrodę za odszukanie jedynaczki. Znawcy stosunków przypuszczają, iż była ona porwana przez kupców lewantyńskich i wywieziona do jednego z licznych tajnych haremów w głębi Azji Mniejszej.

Okrucieństwa wojny religijnej w Meksyku. Wojna religijna w Meksyku przypomina swojem okrucieństwem w zupełności czasy Nerona i prześladowanie pierwszych chrześcijan. Oto sekretarjat komisji biskupów meksykańskich donosi o tych okrucieństwach. W Toluca pewien młody katolik, Emanuel Bouillas, został ukrzyżywany, a potem zastrzelony na krzyżu. W Guadalajara ksiądz Saba Reyes został oblany benzyną i spalony żywcem. W Mexico-City księży zaprowadzono na cmentarz Dolores i rozstrzelano na brzegiem rowu, który wykopano przedtem. Niektórych z nich pogrzebano żywcem. Widok ten był tak okropny, że jeden z grabarzy zwarjował.

RZECZY CIEKAWE.

Co czynić gdy żmija ukąsi.

Nadchodzi pora zbierania po lasach i borach jagód, poziomek, malin, borówek i grzybów. Również podąża wielu, zwłaszcza z miast i osad przemysłowych w niedziele i święta do lasów, by zaczerpnąć świeższego powietrza i leśną żywiczną wonią pokrzepić rozstrojone nerwy i wzmocnić siły.

Kto wstępuje w las i bór, powinien znać niebezpieczeństwa leśne. Wprawdzie dzisiaj nie grasują już w naszych borach dzikie zwierzęta, napadające przechodnia, również rabusiów coraz to mniej, ale pozostały różne gady i żmije jadowite oraz szerszenie i niedźwiadki. Tegoroczna wiosna sprzyjała gadom i rozmnożyło się ich coniemiara. Najniebezpieczniejszą jest żmija jadowita, która jednak nie napada człowieka, ale wystraszona z legowiska lub nadepnięta, podnosi pyszczek i ukąsi.

W paszczy ustnej ma żmija na przodzie dwa trójkątne, puste, ostre ząbki i ukąsiwszy, czy człowieka, czy inne zwierzę zapuszcza w ranę zadaną jad trujący. — Na ukąszenie przez żmiję narażeni są przedewszystkiem boso po lasach i łąkach chodzący. Skórzanego obuwia, ani grubszej materji żmija nie potrafi swemi małemi ząbkami przegryść i ranę zadać. Skoro kogoś spotka nieszczęście ukąszenia przez jadowitą żmiję i krew zacznie kroplami sączyć, to należy natychmiast, czy nogę, czy rękę powyżej miejsca ukąszenia chustką, lub sznurem mocno podwiązać, aby powstrzymać przepływ krwi a temsamem trucizny jadowitej do serca. Jad żmij działa przytłaczająco na serce, bije ono coraz to słabiej, aż zupełnie sparaliżowane przestanie swych funkcji i człowiek w odrętwieniu umiera. Dobrze jest, że w razie ukąszenia, natnie się dość głęboko ukąszone miejsce nożykiem na krzyż, aby z krwią upływającą, wypłynął również jad. Jeśli w pobliżu ukąszonej osoby jest mężczyzna z palącem cygarem, to popiół strzepnąć i żarzące cygaro przycisnąć do rany. Są to wprawdzie operacje bolesne, ale lepiej zęby zacisnąć i ból odcierpieć, aniżeli życie stracić. — Ale zdarzyć się mogą wypadki, że ukąszona przez żmiję osoba nie ma pod ręką ani noża, ani palacza. Cóż wtedy począć? Podwiązać mocno ukąszony członek w każdym razie, a chociażby urwać kawał koszuli, (koszulę można połatać, albo nową kupić, ale raz straconego życia nie kupi nikt za wszystkie skarby świata). Potem, jak najspieszniej udać się do lekarza i poddać się operacji. W międzyczasie zanim lekarz nadejdzie, należy ukąszonej osobie ustawicznie podawać napoje alkoholowe, jak: arak, koniak, aby serce utrzymać w czynności, a następnie wszystkie zarządzenia lekarza skrupulatnie wypełniać.

To samo odnosi się przy ukąszeniach szerszeni i niedźwiadków, z tą jedynie różnicą, że w tych wypadkach jest niebezpieczeństwo mniejsze. Lecz pamiętać należy: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże".

Prorocy wśród zwierząt.

Niejednokrotnem stwierdzonem zjawiskiem u zwierząt jest zdolność przewidywania czyli raczej przeczuwania zmiany pogody nieraz na kilka tygodni naprzód, które niezawodnie polega na tem, że posiadają w tym względnie delikatniejsze zmysły od ludzi. To też tłumaczy, dlaczego psy na znaczną odległość przeczuwają swego pana i nieraz nawet na kilka kilometrów wybiegają im naprzeciw, jakkolwiek nikt z ludzi nie spodziewają się jego przybycia. Co więcej, zdarza się nawet, że zwierzęta przeczuwają nietylko nieszczęśliwe wypadki, ale także śmierć swego pana, choć w innej przebywającego miejscowości. Gazety francuskie pisały niedawno o psie strażnika kolejowego, że ten zapowiadał szczekaniem nadejścia pociągu na 20 minut przed sygnałami. Zdarzyło się niejednokrotnie, że sygnały wskutek zepsucia się przyrządu nie zapowiedziały pociągu, a pies wtedy zastępował przyrząd sygnalizujący. Wiadomo także, że szczury opuszczają okręt przed zatonięciem. Gdy na wyspie Martynice nastąpił wybuch wulkanu Mont Pele (Mą Pele), nietylko oswojone, ale także dzikie zwierzęta go przeczuły i ratowały się ucieczką z zagrożonej okolicy. Przestrzeżeni tą wędrówką zwierząt mieszkańcy wybrali wtedy komisję, która miała zbadać przyczynę tego zjawiska, nie mogła wykryć przyczyny, ale na to się wszyscy jej członkowie zgodzili, że widocznie zagraża jakieś niebezpieczeństwo. W kilka dni potem nastąpił straszny wybuch, a wtedy wszyscy członkowie komisji zginęli.

W Alpach przekonano się również nieraz, że bydło rogate, kozy i owce przeczuły spadanie lawin (mas śniegu) i zawczasu opuściły zagrożone miejsce. Nawet siłą nie zdołali ich wtedy ludzie sprowadzić na opuszczone miejsca, które następnie zasypały lawiny. Dziwniejsze jeszcze zajście zauważono w roku 1872. W kilka dni przed wybuchem cholery, całe stada wron i kawek, gnieżdżących się na wieżach kościelnych i na drzewach w parku miejskim, opuściły gromadnie miasto i przeniosły się do lasu oddalonego o kilka kilometrów, a wróciły z niego dopiero po wygaśnięciu zarazy. Podobne zjawiska stwierdzono kilkakrotnie tak we Francji, jak i w Niemczech i wielu innych krajach.

Zwiastun nieszczęścia.

Ludność miasta Rejkjavik, stolicy Islandji, żyje pod wrażeniem zbliżającego się nieszczęścia. Wedle opowiadań obywateli, u brzegów Islandji pojawił się „upiorny okręt". Przed kilkunastu dniami urzędnik portowy, nazwiskiem Krystjan Jonasson, spostrzegł dobijający do brzegu okręt. Wysłał więc pilota, który miał wprowadzić okręt do portu. Skoro łódź motorowa podpłynęła do okrętu, zapanowała nagle taka ciemność, iż nic nie można było dojrzeć na odległość dwu kroków. Zjawisko to trwało kilka minut. Czas ten wystarczył jednak aby okręt zniknął bez śladu. Rybacy, powracający z połowu, stwierdzają, iż kilkakrotnie spotkali „błędny okręt", opatrzony znakiem F. D. Na pokładzie nie dostrzegli ani jednego człowieka. Odwieczna legenda islandzka twierdzi, że ilekroć ma wyspę wielkie jakieś nieszczęście nawiedzić, zjawia się „błędny okręt". Z lękiem więc spoglądają Islandczycy w przyszłość, pełną tajemniczej grozy.

Do jakiej wysokości latają ptaki?

Wysokość, do której wznoszą się ptaki, zwykle nie przenosi 1000 stóp, są jednak ptaki latające wyżej: wrony, skowronki, bociany, jastrzębie można widywać na wysokości 2000 stóp; orły zaś i kondory amerykańskie na wysokości 6000 stóp.

Kolorowe obrazy na odległość.

Według wiadomości, dostarczonych przez laboratorjum amerykańskie, technikom tamtejszym, po długich doświadczeniach, udało się przenieść obrazy na drodze bezdrutowej w trzech i więcej kolorach. Przesłane tą drogą obrazy, mają w najsubtelniejszych odcieniach barw zgadzać się z oryginałem.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.: Stefanja Bajorek z Ciężkowic 60 gr., Leon Jarolim z Wieliczki 1 zł., Leon Świder z Karwiny dla Maćka na fryzjera 65 gr.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.:**Żelazowski Kazimierz** w M.: Zagadki dobre, chętnie je umieścimy. — **Bronisław Mikowski:** Wierszyk ma dość dużo zalet, ale też i usterki są znaczne. Trzebaby go przerabiać w całości, a na to brak nam czasu. — **Stanisław Jaźwiński** w B.: Wierszy mamy bardzo duży zapas, natomiast o nowelki, powiastki, humoreski i artykuliki poważne bardzo prosimy, byle nie dłuższe nad stronę druku. — **Karol Skrzypa** w Z.: Druk obydwóch powieści kończymy w najbliższych numerach. Nowe mamy już przygotowane. — **Rudolf Motyka** w Ł.: Za życzliwość i przysługę bardzo dziękujemy i prosimy nadal o przysługę dobrej sprawie. Okładki wysłaliśmy. Również numera pod wskazanymi adresami. Cześć! — **E. Skaczelowa** w K.: 230 k. otrzymaliśmy — dziękujęmy. — **Jakób Bartyzel** w B.: Niech Pan napisze w tej sprawie do fabryki rowerów Zawadzkiego w Warszawie, może Pański wynalazek kupią lub w proponowany sposób wynagrodzą. — **Wł. Biedroń** w P.: O nagrodę prosimy się upomnieć w gminie (może cenzurują tak długo) lub na poczcie, gdyż z całą pewnością wysłaliśmy dla Pana, a także dla p. Rudolfa Kuli z Małych Kończyc p. Zebrzydowice; tak jemu jak Panu wysłaliśmy równocześnie książki już opłacone. — Wiersz doczeka się swej kolei. Cześć! — **Jan Kubielas** w P.: Wspomniana książka wyczerpana.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 lipca b. r.

Pszenica .	53·00—54·00	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto . .	50·00—52 00	Ziemniaki stoł.	00·00—00·00
Owies . .	42·00—43·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	00·00—00·00	Mąka żytnia	74·00—75·00
Fasola biała	00·00—00·00	Otręby żytnie	29·00—30·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Pęcak zwycz.	65·00—66·00
Konīczyna .	14·00—16·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Okładki na „Rolę" są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Władysław Maniewski z D. W.)

■ ☆ ☆ □ Ryba.
☆ ■ □ ☆ Imię męskie.
☆ □ ■ ☆ Okrycie drzew.
□ ☆ ☆ ■ Wspak płyn.
☆ □ ■ ☆ Młody ptak.
☆ ■ □ ☆ Rzeka.
■ ☆ ☆ □ Imię żydowskie.
☆ ■ □ ☆ Wspak rzeka.
☆ □ ■ ☆ Zwierzę.
□ ☆ ☆ ■ Liczą na meczu.
☆ □ ■ ☆ Potrzebne lekarzom.

Litery wstawione zamiast kwadracików czarnych i białych czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwiska mężów, którzy miłowali ojczyznę.

2. Szarady.

(Ułożył Jan Dubis z J.).

I.

Pierwsze zaraz na wstępie mamy w alfabecie.
Kto ceni wartość prawa, płaci drugie trzecie.
Człowiek pierwszą drugą, każdemu z nas powie,
Czy w jego ciele mieszka choroba, czy zdrowie,
Trzecia z pierwszą naczynia dobrze wszystkim znane,
Bywają też na ucztach często używane.
Całość między potrzebne liczymy wyroby,
Służy w wielu wypadkach także do ozdoby.

II.

Pierwsze drugie roślina znana w kuchni wszędzie,
Botanika zaś w baldaszkowych zamieszcza ją rzędzie.
Trzecie samo zaimek, w naszej mowie znany,
Zwłaszcza jako wskazujący bywa używany,
Pierwsze trzecie zwierzęta, tą zaletą błyszczą,
Że szkodliwe stworzenia w domach naszych niszczą.
Całość, chociaż nie ruchoma, krąży ciągle z wieścią,
Przejmując nas radością, smutkiem lub boleścią.

3. Zagadki.

I.

(Ułożył Antoni Frączek z P.)

Wprost w zimie używane,
Wspak w alfabecie napisane.

II.

Wprost to Polska posiada,
Wspak złodzieja, policja bada.

III.

(Ułożył Jan Patulski z S.).

Początek jest dwie litery
a dalej nazwa gazety.
Jeżeli w całość złączymy
to będzie imię kobiety.

4. Układanki.

1) Miara + zwierz = imię męskie.
2) Rzeka + czas = pokarm zwierząt.
3) Nie - dobroć + rodzajnik = metal.
4) Rzemień + rodzajnik = smar.
5) Karta + sznur = imię żeńskie.

Termin nadsyłania rozwiązań do 17 b. m.

Ponieważ dobrego rozwiązania zagadek z Nr 26 dotychczas nikt nie nadesłał, przeto termin nadsyłania rozwiązań przedłużamy do 17 b. m.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Ksiądz: Wykazałem wam więc, jakie są zgubne skutki pijaństwa. Jasiek! Powiedz, dokąd prowadzi pijaństwo?

Jasiek: Do karczmy, proszę księdza.

Ksiądz: Słuchajże: wódka jest nieprzyjacielem ludzi...

Walek: A Pan Jezus kazał kochać nieprzyjaciół!...

Ksiądz: Kochać ale nie połykać!



Walenty: — Daj mi spokój dziś niemam czasu, tak mam głowę pełną wszystkiego.

Maciek: — Ano, kiedy tak, to trudno! Ale wiecie na pełną głowę to najlepszy jest gęsty grzebień.



— I znowu się kłócicie? Zastanówcie się. Mąż żona powinni stanowić wzorową spójnię, powinni dążyć oboje do jednego celu.

— Dlatego się właśnie kłócimy, bo mąż mój chce rządzić domem i ja także...

W więzieniu przy odwiedzinach.

Raz odwiedzał cesarz Józef II. więzienie, w którym siedziało kilkudziesięciu więźniów skazanych za różne występki. Każdy więzień na zapytanie cesarza zaręczał, że niewinnie siedzi w więzieniu; tylko jeden wyznał szczerze, że zasłużył na karę za swój występek.

— Tak? — zawołał cesarz, — co ty tu, łotrze, robisz między tak cnotliwymi ludźmi? Zaraz mi się stąd wynoś. I kazał go puścić.



To co innego.

— Jak ty się nie wstydzisz dziś w niedzielę do tego spacerować w takim starym, poplamionym paltocie.

— Ja? wstydzić się? To nie mój paltot. Pożyczyłem go od przyjaciela.



Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I. i II-go kwartału po 2 zł. 60 gr.

W Administracji „Roli“ są do nabycia niektóre numera „Roli“ z roku 1912, 1913 nie tworzące całości rocznika, które się wysyła po nadesłaniu 15 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać w liście znaczkami pocztowymi.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami poczt

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja“: Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.